

# • BRACIA ZBOROWSCY.

---

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU

PODŁUG

HENRYKA RZEWUSKIEGO.

---

STREŚCIŁ

JAN KWIATKOWSKI.

---

Z 6 ILLUSTRACYAMI.



MIKOŁÓW – WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI.

1909.

Stefan Lemański

---

XV/2. a 3

SL1e

W20731

I

X-82/12510

17. XII.

[100-]





## I.

**D**rogą wiodącą z Kijowa do Hermanstadtu, stolicy Siedmiogrodzkiej, toczyło się kilka karet pod opieką nielicznych jeźdźców, o których zbroje odbijały się promienie słoneczne. Był to dwór księżnej węgierskiej, małżonki Despoty Rascyi, podróżującej w towarzystwie Gryzeldy, siostrzenicy rodzonej i synowicy Stefana Batorego. Wracały one z świętych Miejsc w pieczarach Kijowskich, gdy pod Trypołem horda Tatarska nagle zastąpiła im drogę. Księżna z Gryzeldą i całym orszakiem niewątpliwie dostałaby się w niewolę, gdyby pewien rycerz w czarnej zbroi nie spadł jak z nieba na jej ratunek. Waleczność jego nie znała granic i wątpić należało, czy to człowiek albo latawiec, gdyż ani spisa, ani strzał, ani kindżał jego nie chwycił, a kogo się dotknął, ten padał nieżywy. Sam murza natarł na niego, ale czarny rycerz w lot głowę mu zniósł z karku, że spadła poza konia i dwa razy podskoczyła. A murza już bez głowy do swoich wrócił, czem tak się przestraszyli, że choć była tego nie mała garstka, wszystko niebawem pouciekało.

Z przeciwnej strony w tym samym czasie podążał na Zaporozże mały hufiec mołojców, pod do-

wództwem atamana kozackiego, znanego pod przybranem nazwiskiem Cyt-Detyny. Jemu towarzyszył w podróży niejakiś Ezechiel Zdora, syn gubernatora Kálnickiego zamku i hrabstwa będącego własnością możnej rodziny Zborowskich, głośnej w XVI wieku nie tyle z czynów chlubnych, ile z wichrzeń i zamieszek. Od dzieciństwa zaprzyjaźniony z Detyną — a właściwie Kazimierzem Mroczkim, gdyż tak brzmiało jego właściwe nazwisko — również wychowanym na chlebie Zborowskich, nie mógł Ezechiel oprzeć się jego namowom, gdy ten spotkawszy go po długiej niebytności w stronach ojczystych, w barwnych kolorach zaczął mu przedstawiać życie zaporoskie. Pan Ezechiel zawadyaka jakich mało, w czasie podróży koniecznie chciał się popisać przed nowymi swoimi przyjaciółmi, a tem samem dać dowód o waleczności, którą mógłby ich przekonać, że z niego niemalą mieć będą pociechę. Dzień za dniem jednak mijał bez żadnego wypadku. Dopiero drugiego dnia po południu, nieomal na pograniczu widnokregu, postrzeżono orszak już na wstępie wspomniany.

— Atamanie — zawołał przeto jeden z mołojców. — Czy nam pozwolisz poharcować z tymi panami, co nam w ręce idą?

— Jak się do nas zbliżą — odpowiedział ataman — to się rozpatrzemy; być może, że to są nasi przyjaciele.

— Ależ panie atamanie — wmieszał się pan Ezechiel — jużci to nie mogą być Zaporozcy, a sam niedawno twierdziłeś, że cudzego a uzbrojonego godzi się zaczepić. Dlaczego więc mnie biedakowi pozazdrościć szczęścia, żebym się przed tymi panami mógł pokazać, iż jak przystanę do Zaporozia, jemu nie zrobię przecież wstydu.

— Patrzcie-no, w jakiej gorącej wodzie kąpany! Chcesz być Zaporozcem, a konie męczysz bez potrzeby, nie mogą na miejscu ustać. Pocóż śpieszyć, kiedy tamci ku nam dążą.

Jeszcze kilka kroków postąpili, gdy jeden z mołojców nagle zawołał:

— Nie inaczej, to musi być księżna Rascyi, powracająca z Kijowa na Węgry. Jest bowiem taka ilość powozów, taka odzież ludzi, zupełnie jak to nam opowiadali Tatarzy. Tylko czarnego rycerza jeszcze nie widać. A może on tylko na bisurmanów się pokazuje. Atamanie! nie godzi się napadać na takiego, co idzie do świętych Miejsc, bo na cóż komu przeszkadzać pobożnego uczynku? Ale kiedy pobożność już się odbyła i powraca się z pielgrzymki, zdaje się że niema grzechu na takiego napaść, bo on już swoje odbył.

— A jakże — odezwał się pan Ezechiel. — Któżby chciał kogo niedopuszczać do miejsca pątniczego? wszak my nie bezbożniki; ale jakż krzywda robi się Bogu, napadając na tego, który wszystko należycie odbywszy, wraca do domu.<sup>211</sup>

— Jak się do nas jeszcze trochę przybliżą — odrzekł ataman — nie jestem od tego, aby się z nimi trochę pobawić. Wszakże nim przystąpimy do bitwy, trzeba wprzód ich zapytać, czy nie zechcą po przyjacielsku z nami się podzielić. Bo na cóż szczyrbić broń i męczyć konie, jeżeli i bez tego można na swoim postawić.

— Na co brać do pomocy język — rzekł pan Ezechiel — ja odezwę się trąbką, a że być nie może, iżby tam nie było jakiego pasowanego rycerza, więc zrozumieją, czego chce moja trąbka.

Kozacy najężyli spisy, a pan Ezechiel zatrąbił nutę ofiarującą przebaczenie, jeżeli się poddadzą. Potem spuścił przyłbicę i oczy zmrużywszy, wyglądał na kogo ma uderzyć. Wtem z taboru wysunął się rycerz w czarnej zbroi. Trzymał kopię w pogotowiu do potyczki i dobrym kłusem dążył, kędy zastanowili się Kozacy. Sam jeden zdawał chcieć na wszystkich się porwać.

— To jakiś dzielny rycerz — odezwał się pan Kazimierz — ani pyta, ilu nas jest; myśli że sam wszystkim wystarczy. Trzeba go jednak przekonać, że i my nie tchórze. Nie pozwolę, żeby wszyscy jednego brali w obroty. Może tak się robiło dawniej, ale nie odkąd Samucha naszym hetmanem. Niechaj więc sam z nim się rozprawię.

— Panie atamanie — rzekł Ezechiel Zdora. — Co dopiero mi powiedziano, że wedle waszych ustaw ostatni co do was przystaje, w pierwszym

zdarzeniu musi dać z siebie doświadczenie. Więc ten czarny rycerz do innie należy.

— Niema co mówić — odpowiedział ataman. — Masz słusność za sobą. Ruszajże naprzód w Imię Boże.

Wysunął się przeto pan Ezechiel, lecz gdy już między nim a czarnym rycerzem nie było nad kroków dwieście, a zarazem było można rozeznać godło przeciwnika, ataman poznał w nim Samuchę, hetmana zaporoskiego i krzyknął na całe gardło: Ezechielu, panie Ezechielu! Wracaj na miłość Boga, ani mi się waź nacierać! — ale tego pan Zdora widocznie nie chciał słyszeć, gdyż ile tylko koń zdołał wyskoczyć, z kopią pędził obcesowo na czarnego rycerza. Zetknęły się z sobą rycerze jak dwie chmury w czasie lipcowych upałów. Kopia pana Ezechiela pokruszyła się w kawałki na zbroi czarnego rycerza, nic nie zdziaławszy, ale skoro on uderzył swego przeciwnika, ten w oka mgnieniu powalił się o ziemię. Kozactwo niebawem otoczyło zwycięzcę, krzycząc: Niech żyje nasz Samucha!

— Cicho durnie! — odpowiedział pan Samuel. — Jak się masz Detyno i wy bracia? A co to za jeden, który teraz leży?

— Hetmanie — rzekł pan Kazimierz. — Jest to sługa niegdyś waszego domu, Ezechiel Zdora, które mu ani w głowie było potykać się z panem.

Prawda, nie mały spotkał go zaszczyt, lękam się tylko, by go za drogo nie opłacił.

— Ezechiel Zdora!... Trzeba ratować biedaka; lichy jednak wiedziało, że to on! No mołojcy, rozpierchajcie się wszyscy na Sicz; jeden tylko Detyna przy mnie pozostanie. W Siczy na mnie czekajcie. Tylko żeby żaden z was nie ważył przybliżyć się do tych powozów, co hen zastanowiły się. No... ruszajcie dzieci, a nikomu nie mówcie, żeście mnie tu nadybali. Tylko cicho, żadnych głośnych pożegnań, ja tego nie chcę. Precz stąd, obaczmy się na Siczy! — Kozactwo natychmiast rozsypało się po stepie.

Swiryd, sługa pana Ezechiela, już był przy swoim panu, bo jak tylko ujrzał go leżącego, wyskoczył do niego z wózka, na którym jechał. Pan Samuel i pan Kazimierz zsiadli ze swoich rumaków, żeby mu pomódz do uratowania pana. Zdjęli z niego jak najspieszniej zbroję, a Samucha w szyzak leżącego rycerza nabrawszy wody, oblał nią pana Ezechiela, który nie odzyskując przytomności, jęczał głuchym dźwiękiem.

— Żal mi tego nieszczęśliwca — rzekł hetman Zaporoski — ale jakaż z niego zrobiła się baba. Jam go tak jakby z niechcenia potracił. Przecież to był kiedyś rycerz waleczny, w mojej przytomności dokazywał w Inflanciech i pod Połockiem.



Nieborak musiał u swojego ojca zależeć pole, od-  
kład mu dano rozprawę w Zborowie.

— Gdzie tam panie. Niema tygodnia, jak w o-  
czach moich potykał się na ostre z sahadacznym  
(wódz Kozaków, drugi po atamanie). Powalił go  
tak, że ani drgnął i chyba na ostatni sąd wylezie  
z pod mogiły. On miał zamiar do nas przystąpić  
i oddać siebie panu z duszą i ciałem. Dlatego też  
towarzyszył mnie do Zaporoża. Na swoją biedę  
spotkał się z panem rychlej, niż się spodziewał.

— Biedny człowiek! żeby mnie był pobił, to  
możebym więcej się nie frasował. Ale on jednak  
nie wygląda na takiego, z którym wkrótce już bę-  
dzie po wszystkim. Lecz już się przybliżyła ku  
nam księżna, małżonka Despoty Rascyi ze swoim  
dworem. To miłosierna pani i być nie może, żeby  
nie miała przy sobie jakiego lekarza. — Wtem obok  
nich stanęła kolasa, w której siedziały dwie pa-  
nie. Były to właśnie małżonka wspomnianego  
Despoty i Gryzelda Batorówna, księżniczka sie-  
dmiogrodzka. Po prawej stronie siedząca zda-  
wała się mieć około lat 40, a jednak mogłaby  
uchodzić za piękną, gdyby nie sąsiedztwo niebez-  
pieczne młodej Gryzeldy, na której obliczu były  
rozlane tak czarujące wdzięki, taka szlachetna nie-  
winność, że raz ją ujrzawszy niepodobna było za-  
pomnieć jej rysów. Dostojne panie wysiadły z po-  
wozu i księżna starsza, przybliżywszy się do pana  
Samuela, rzekła do niego mową ruską:

— Rycerzu szlachetny, już po drugi raz winiśmy tobie wolność, sławę i życie. Kiedyż zdolamy się tobie wywdziękzyć?

— Zwycięstwo, drogo kosztuje, które nie mojemu męstwu, ale chęci wam usłużenia, dostojne panie, przypisuję. Po zbroi poznaję, że ten, który leży na wpół martwy, jest polskim rycerzem. Może on ma matkę, cnotliwą rodzinę, kochankę, które jego śmierć pograży w smutek i żalobę. Żyje on jednak jeszcze, niepodobna więc opuścić walczącego męża za to, że los zdradził jego odwagę? Czy we dworze waszej wysokości nie masz jakiego lekarza, któryby mógł go opatrzyć?

— Ach rycerzu — rzekła księżna — nad tym nieszczęśliwym Opatrzność czuwa, kiedy moja Gryzelda ze mną. Na co się przyda lekarz? Żaden z nich nie jest bieglejszym w swoim kunszcie. Ona wszystkich ziół zna własności i byle cień życia w nim pozostał, ona mu wróci zdrowie. Gryzeldo, przekonaj naszego zbawcę, że jeżeli on umie zadawać rany, ty je potrafisz zagoić.

Na rozkaz księżnej słudzy sporządzili na prędcie nosze, pokryli je płaszczami i na nich położyli pana Ezechiela. Księżniczka Gryzelda przybliżyła się do niego, wzięła go za rękę, potem położyła dłoń swoją na jego czole, jakby śledząc jego ból. Miała postać pocieszającego anioła.

— On ma silną gorączkę — rzekła do ciotki — ale byle go położono w jakie spokojne miejsce, ja



Czy waz dworze waszej wysokosci niemasz jakiego lekarza, któryby mógł go opatrzyć?

odpowiadam że żyć będzie. — Z apteczki podróżnej wydobyła następnie flaszkę z jakimś balsamem, chustkę swoją nim zmoczyła i tę położyła na piersiach chorego, a widząc że Swiryd szczególnie się zajmuje staraniem około niego, powiedziała mu: Oto masz tę flaszkę, trzymaj ją w ręku i nie odstępуй swojego pana, ale idź obok noszów. Uważaj, aby chustka się nie osuszyła i często ją skrapiaj tym balsamem.

Rzekłszy to, skoczyła Gryzelda w kolaskę, księżna siadła obok niej i zwolna ruszono z miejsca, aby się nie oddalać od noszów. Pan Samuel i pan Kazimierz siedli na koń i wszyscy dążyli ku Berszadzie, która nie więcej malej milki była od nich oddaloną. Dwaj nasi znajomi rycerze niebawem jednak wycofnęli się z orszaku, żeby z sobą pomówić. Pan Kazimierz pierwszy przerwał milczenie.

— Już panu musi być wiadome nieszczęście, które dotknęło i wysoki jego dom i nas wszystkich.

— Wieść o słabości mojego ojca doszła do mnie na Siczy — rzekł pan Samuel, głęboko westchnąwszy — i dlatego tak śpiesznie ją opuściłem. Miałem nadzieję zastać tego dobrego ojca, którego tak niecznie porzuciłem, chciałem go błagać o przebaczenie, ale Bóg nie pozwolił wyrodnemu synowi zamknąć oczy temu, do którego śmierci sam się przyczynił. W kilka dni po rozpoczęciu po-

chodu spotkałem żydów ze Zborowa, którzy nie poznawszy mnie, opowiadali wszystkie szczegóły jego zgonu. Z żalu musiałem wyjść pośpiesznie i sumienie dotąd nie przestaje mi wyrzucać ojcobójstwa.

— Panie! jako syn nie możesz nie czuć tak drogiej straty, ale bynajmniej nie wyrzucaj jej sobie, panie. Śmierć króla, nieszczęścia co je stąd przewidywał dla kraju, a które jego uczucia obywatelskie w nazbyt czarnym kolorze wystawiały, wznowiły dawne jego niemoce i wkońcu spowodowały pożegnanie się z tym światem. Ale on ciągle z największą czułością prawie do ostatniego tchu pana wspominał, po kilkakrotnie go błogosławił i często powtarzał, że ze wszystkich jego dzieci pan mu byłś najmilszym.

— Ale najniewdzięczniejszym i to właśnie zatruwa gorczą serce moje.

— Świeć Boże nad duszą nieboszczyka pana, ale i jemu się nie chwali sposób, w jaki z panem chciał postąpić; jużci nie godzi się przymuszać syna, żeby się żenił z osobą, której nie lubi. Zresztą pan nigdy nie miałś przeciwko sobie nieboszczyka pana i w duszy pewnie myślał, że na pańskim miejscu sam podobnego urządziłby drapaka z domu rodzicielskiego. Przed kilku dniami byłem w Kalniku u tego starego szalbierza Zdory, przyczem właśnie udało mi się wywlec do nas syna jego, pana Ezechiela. Dla pewności zmie-

niem głos, a do tego twarz miałem tak okitajkowaną, że zjadł lichy, ktoby mnie poznał. Wyglądałem jak zwyczajny hajdamaka zaporoski i kwita. Wtem przybywa mój ojciec, a panu wiadomo, jaki to łagodny baranek z mojego starego. Mówiono w Zborowie, że ja miłszy mu byłem niż mój brat i jeżeli to prawda, że kto kogo miłuje tego i karze, o jego skłonności ku mnie wątpić nie mogłem. Bo choć byłem już towarzyszem pancernym, a nawet pasowanym rycerzem, to wielkie szczęście, jeżeli minął tydzień, w którymbym jego ręką nie był obity. Ile razy okiem na mnie rzucił, to aż drżały wszystkie moje członki, tak się bałem, żeby mnie nie poznał. I tak opowiadając panu Zdorze wszystkie szczegóły śmierci pana Krakowskiego, wystąpił zarazem na pana z kazaniem, chociaż dosyć umiarkowanym. Ale kiedy mu przyszło mówić o mnie, miałem się czego nasłuchać. Oto jego słowa: Pan Samuel byłby się opamiętał, żeby nie mój łotr, który bezustannie z nim przebywając, widocznie go namówił do ucieczki na Zaporozże. — Nie wie jednak, jakiej godności pan tutaj się doczekał i kto się ukrywa pod przybranem nazwiskiem „Samuchy“, hetmana Zaporoskiego. Przy końcu jeszcze dodał, że skoro wpadnę w jego ręce, w naddatku sprawi mi taką łaźnię, że o niej nigdy nie zapomnę. A mnie aż łydki się trzęsły i wołałbym spotkać stu Tatarów, niż jego jednego. Bo z Tatarami bronić się można,

a z ojcem inna sprawa. Powie: kładź się błaznie! i położyć się trzeba, nie wstając aż póki nie pozwoli. A choć wisi nade mną chłosta, jednak wcześniej czy później muszę go przeprosić. Więc nie sam pan masz mola, który go gryzie. Mimo to wypada stosunki osobiste odłożyć na później, a myśleć tylko o sprawie publicznej. A kiedy ona zaprzęta mnie głowę, choćem tylko szlachcic ubogi, cóż dopiero pan, który jesteś kasztelanem Krakowskim, hetmanem kilkudziesiąt tysięcy Zaporózców. Pewnie nie zaniechasz niczego i szczerze zajmiesz się wyborem nowego pana.

— O niczem myśleć nie umiem, odkąd wciśnąłem się w orszak księżnej Rascyi.

— Pojmuję, dobrodziej się zakochał. Prawda, że księżniczka nad wszelkie powaby wywyższona, jednak życzyłbym teraz wszystkiego zaniechać, a prawdę powiedziawszy i potem nie bardzo do tego wracać.

— Cóż to? więc myślisz że ja jej nie wart!... Gryzelda musi być moją. Nie poniżam siebie tak dalece, bym czyjejkolwiek krwi przyznawał wyższość nad tę, która w moich żyłach płynie. Despoty Rascyi, książęta Siedmiogrodu są kolejno lennikami cesarzów i sułtanów, a ja zależę jedynie od Boga i od mojego miecza, a nadto jestem synem książęcia senatu. Jestem potężniejszym od nich władcą, bo na jedno moje skinienie powstanie sto tysięcy żołnierza, ślepo poświęconego dla mnie,

ich hetmana. Kazimierzu, wkrótce musisz jechać do Hermanstadtu jako mój poseł. Powiesz księciu Stefanowi Batoremu, że Samuel Zborowski pragnie zostać jego synowcem. Że zamiast smugów i bisiorów ofiaruje mu 40,000 bitnego rycerstwa, którzy rozszerzą granice jego państwa od strony, jaką tylko im naznaczy. A jeżeli wzgardzi moją osobą, ja z całym Zaporozem zaleję ziemię Siedmiogrodzką, wyłamię książęce zamki, zdobędę twierdze, podbiję całe państwo i porwę moją księżniczkę.

— Panie, jestem sługą i przyjacielem twoim; twoje szczęście jest mi droższe nad życie własne, ale nad wszystko milszą mi jest nasza ojczyzna. Jeżeli dla ciebie wszystko opuściłem, to dlatego, że zdołałeś mnie przekonać o twoich dobrych zamiarach względem Rzeczypospolitej. Teraz u pana miłość w głowie, przeto nic dziwnego, że rad moich słuchać może nie zechcesz; z kolei przestaniesz nawet być głuchym na głos prawdziwej i wiernej przyjaźni.

— I ty Kazimierzu mnie byś opuścił? Ty nie chciałbyś podjąć się poselstwa mojego?

— Panie, mnie teraz bezkrólewie w głowie; dopóki Bóg nie przeznaczy nam pana, dopóty ani panu ani szlachcicowi nie wolno z kraju się oddalać.

— Przyjacielu, ty sobie wyobrazić nie możesz, jaka to jest nadziemską istotą, która na zawsze



zholdowała moją duszę. O niczem nie mogę myśleć, tylko o niej. Ojczyzna, sława, wszystko już znikło z przed oczów moich.

— Panie! gdybyś był człowiekiem, jakich co kroku się spotyka, przystałoby ci iść, jak nierozważnemu dziecku za pierwszym popędem swojego serca. Ale po Samuelu Zborowskim, po owym niezwalczonym wojowniku, co go Zygmunt August nazywał tarczą Rzeczypospolitej, czegoś więcej wymagam. Przebóg! ten hetman Samucha, który imię przez siebie przybrane już zdołał postawić na równi z tem, jakie mu dała Opatrzność, a które wielcy jego przodkowie zrobili tak drogim w narodzie, on, który zdołał dzikie tłumy do ślepego posłuszeństwa skłonić, ma się dać zwyciężyć przez jedną dziewczynę? Twoją kochanką jest Polska — bohaterski wodzu Zaporoża — to nie jest powołanie twoje. Mógłżebyś zawieść nadzieje tych, którym odkryłeś tajniki twojej duszy? Kiedyśmy znieśli Krymskich Tatarów na ich własnych stepach, kiedy chan przelękł, co mu się nigdy z Zaporozcami nie zdarzyło, wyżebrał u ciebie pokój i wszystkich jeńców Polski i Rusi musiał nam oddać, a liczny lud nas błogosławiąc wracał do siół swoich, my wtedy siedzieli na murawie, patrząc z rozrzewnieniem na ten lud. W uniesieniu wypowiedziałeś wtenczas, że masz nadzieję, iż wkrótce spełnią się twoje zamiary. A wtedy niech drży ciemiężca chrześcijan w grodzie Ca-

rów. — Ja z wdzięczności taki uczulem zapal, że słowa wymówić nie mogłem, tylko w uniesieniu porwałem pana za rękę i przycisnąłem ją do ust moich. Czy teraz, gdy okazya ku temu się nadarza, spotkanie jednej dziewicy wszystko ma obalić? Jeżeliby tak być miało, powiem ci panie otwarcie, bo pochlebiać to nie lacka rzecz, że całe życie oplakiwałbym te lata, com je strawił w twoich usługach.

— Ach Kazimierzu, jakże tobie zazdrosczę tego zimnego serca, które ciebie robi niezdolnym do wszystkich ponęt miłości! Ale gdybyś doświadczył, gdybyś pojął to gwałtowne uczucie, miałbyś litość nad przyjacielem. Sam nie wiem, co z sobą zrobić, bo cała moja przyszłość jedynie od niej zależy. Czuję potrzebę wyznać przed Gryzeldą moje uczucia, a znowu się lękam, żeby nie stracić ostatniej deszczki, na której płynę, nie wiedząc gdzie mnie fale zapędzą, bo jedno jej słowo może mi odebrać wszelką nadzieję. Niekiedy zdaje mi się, że dawna dzielność dopiero odrętwiona, ocuca się nakoniec. Wtenczas łaknę za wojną, przywołuję ją wszystkimi siłami, pragnę dobywać zamki, pustoszyć ziemie, opanować królestwa, by stanąć na takim stopniu, że najpotężniejszy mocarz za szczęście poczytałby sobie nazwać mnie swoim synem.

— Otóż pan trzymaj się tego ostatniego, bo to jest najbezpieczniejsze. Ale widzę, że od księ-

żnej biegnie do pana jej dworzanin, zapewne z jakimś rozkazem. Mnie pan pozwolisz dowiedzieć się, jak tam z Ezechielem, a sam asystuj księżnom, które mu są rade i bądź wesolej myśli.

\*

\*

\*

Jak tylko orszak podróżny stanął w gospodzie, pierwsze staranie księżnych i ich dworu było około pana Ezechiela. Położono go w osobnej izbie, gdzie oprócz Swiryda ciągle jakiś dworzanin czuwał nad nim. A pan Kazimierz rzadko kiedy go odstępował i to na czas krótki. Kazał nawet posłać sobie obok niego, żeby go również w nocy nie odstępować. Nawet pan Samuel w tejże samej izbie się ulokował.

Gryzelda w towarzystwie dwóch służebnych niewiast nie szczędziła mu starań, jakichby matka lub siostra większych obmyśleć nie mogły.

— Już teraz jestem o niego spokojną — rzekła po chwili — zaręczam, że jak się przebudzi, uczuje się pokrzepionym i mówić zechce. Ale właśnie tego pozwalać nie trzeba. Tereso — dodała, obracając się do jednej z dwóch pokojówek — jak się przebudzi, żeby mnie o tem uwiadomić. Dam mu posilające krople, po których już chorego śmiało można poruczyć naturze.

W samej rzeczy pan Ezechiel przebudziwszy się, odzyskał całkowitą przytomność. Różne też stawiał pytania, na które pan Kazimierz ani sam

odpowiadał, ani Swirydowi odpowiadać nie pozwalał. Jednak nie mógł wstrzymać się od śmiechu, że pierwsze jego słowa były:

— No, ten przeklęty czarny rycerz czy latawiec, jak go tam nazywano, nieomal przed czasem wyprawił mnie na tamten świat. A choć jeszcze siedzę we własnej skórze, nie wiem czy mam się z tego cieszyć, bo wedle prawa rycerskiego zabrał mi konia, zbroję i tę trochę grosiwa, co posiadałem.

— Cicho siedź waść — rzekł przerywając mu mowę pan Kazimierz — bo księżniczka nie pozwala waści mówić; o Sędziwosza i tak dalej bądź spokojny, gdyż wszystko to posiadasz, co było twoją własnością przed spotkaniem się z czarnym rycerzem.

— Jaka księżniczka? wszakże Zaporozanie wspominali o całej księżnie. Czyżby czarny rycerz miał się zamienić w księżniczkę?

— Cicho, o wszystkim później się dowiesz. Spoczywaj Ezechielu, a ja tymczasem pośpieszę uwiadomić księżniczkę, żeś obudził się znacznie zdrowszy, jak to sama przepowiedziała. A ty Swirydzie, o coby się pan ciebie pytał, nie odpowiadaj. Ja tak każę, rozumiesz?

Jak przeszedł próg, pan Ezechiel nie wytrzymał i zaczął różne pytania robić Swirydowi, ale Rusin pamiętny na zalecenie pańskiego przyjaciela, zupełnie oniemiał a nawet ogłuchł. Nakoniec pana

Ezechiela tak zniecierpliwiał, że mu ten powiedział: Myślisz, że udajesz durnia, a z ciebie i bez udawania największa nierogaczyna — i odwrócił się do ściany.

Wkrótce nadeszła księżniczka. Skoro ją obaczył pan Ezechiel przy łóżku swoim, otworzył wielkie oczy i czas jakiś był jak odurzony. Wsparły zaś na rękę, trochę się podniósł i chciał coś przemówić, jeno że słowa mu się plątały w gębie. Podawszy Gryzelda choremu łyżeczkę z kroplami, kazała mu to połknąć, poczem zapytała:

— Rycerzu! czy bólu już nie czujesz?

— Dopiero czułem trochę bólu w piersiach, ale jak na panią spojrzałem, jakby ręką odjęło.

Gryzelda nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Przepraszam waszą wysokość za mojego przyjaciela — odezwał się pan Kazimierz. — Nie wie kim pani jesteście i dlatego nieco za panie brat do niej przemawia.

— Rycerzu — odezwała się księżniczka — nad moją nadzieję twoja kuracya się powiodła. Jeżeli zechcesz posilić się, już jest dla ciebie wszystko przygotowane — poczem chorego niezwłocznie opuściła.

— Kazimierzu, panie Kazimierzu! — wyrzekł półgłosem Ezechiel. — Otóż jest! stał jak na szpilkach i uciekł. Wasza wysokość, to coś musi być

niepospolitego... Swirydzie, przyjacielu, obróć-no głowę przynajmniej... Czyś ty durniu oszalał? Gadajże z nim, istny bałwan. Oj, żebym mógł wstać, dałbym tobie udawać głuchego... Przybliź się synu, niech cię popieszczę... Sto dyabłów zjadł, doigrasz się ze mną... Swirydzie, duszo moja, powiedz mi tylko, kto to taki ta wysoka pani i gdzie się podział ten czarny rycerz, z którym mi się tak haniebnie powiodło. No i czegoż milczysz? wszak to ja twój pan a nie pan Kazimierz. Nie bądź głupim, a odpowiedz: daję tobie słowo rycerskie, że jeżeli odpowiesz, sprawię ci safianowe czerwone buty... O chamie przekłety! będziesz tego długo pamiętał; poznasz ty się z tyłcem mojej kopii. A to ruśniacka natura: uparty jak kozioł... A, ktoby tam z tobą chciał gadać... Jednak żeby się mnie było udało, to i ta piękna wysokość byłaby moją. Ale to być nie mogło, to była sprawa z biesami, a nie ludźmi. Ten czarny rycerz, to wyraźny latawiec. A kto wie czy i ta księżniczka nie jest starą czarownicą? Ja z rąk jej przyjmuję lekarstwo, jak pocziwy człowiek, a może na tem się skończy, że mnie przemieni w capa albo osła. I poco mi było się napierać? a nie mogę nikogo winić, bo dobrze pamiętam, jak pan Kazimierz na mnie krzyczał, żebym poszedł nazad, tylko udawałem, że nie słyszę.

W ten i podobny sposób kilkakrotnie jeszcze próbował zmiękczyć Swiryda, jednak nie było

sposobu z upartym sługą zawiązać rozmowy, przeto rad nie rad zaniechał go i na nowo zasnął.

W przeciwniejszej izbie księżna, księżniczka i pan Samuel z sobą rozmawiali.

— Księżna-ciotko — rzekła Gryzelda — jutro możemy śmiało stąd wyruszyć. Mój chory przyśępuje do zdrowia nad wszelką nadzieję. Jeszcze jego stan wymaga kilku dni spoczynku, ale możemy śmiało go zostawić pod pieczę jego giermka. Lekarstw żadnych już nie potrzebuje, a księżnej-ciotce wiadomo, że jej mąż teraz znajdujący się w Hermansztadzie, z niemniejszą od księcia mego stryja niecierpliwością nas oczekiwać musi.

— To już dostojną księżniczkę — rzekł pan Samuel — kraj nasz tak dalece znudził, że każdą chwilę, którą w nim przepędza, uważa za straconą?

— I owszem, rycerzu, kraj ten jest tak piękny i wesóły, że możnaby pozazdrościć szczęścia tym, których przeznaczenie w nim każe mieszkać. Ale nie jest on własny, przeto wszystkie moje uczucia wiążą mnie do Siedmiogrodzkiej ziemi, bo ona jest moją ojczyzną! Tam przepędziłam szczęśliwe lata mego dzieciństwa i daj Boże, abym tam zamknęła moje powieki.

— Jakie z ciebie dziecko, moja Gryzeldo — odezwała się księżna Rascyi. — Jużci na Siedmiogrodzie dni swoich nie skończysz, ani ci na nim dadzą zestarzeć. Musisz kiedyś i to może niezadługo, zostać Niemką, albo Węgierką, albo Polką.

— Czy Polska tak szczęśliwą — rzekł pan Samuel — żeby synowica księcia Siedmiogrodzkiego mogła zostać jej obywatelką? Zapewne ksiązę Stefan wyższego pragnie przeznaczenia dla krwi swojej?

— I owszem — odparła księżna. — Jużem ci raz mówiła, że ksiązę Stefan bardzo lubi waszą Polskę i często o niej wspomina. Razu jednego w mojej przytomności długo rozmawiał z panem Zamojskim, którego bardzo ceni, o waszych ustawach i unosił się nad ich mądrością, aż nakoniec powiedział, że niema na świecie tronu, któryby był dla niego równie powabny, jak wasz polski. A potem, kiedy został sam z nami, przede mną wymówił się, że gdyby to od niego zależało, wolałby widzieć Gryzeldę żoną pana polskiego, niż ksiązęcia niemieckiego...

— Księżna-ciotka pozwoli — odezwiała się z pośpiechem Gryzelda — bym jeszcze nawiedziła mojego chorego. — I wyszła do pokoju swoich kobiet. Pan Samuel i księżna Rascyi sam na sam zostali.

— Rycerzu — zaczęła księżna — ja od swojego nie odstąpię: musisz koniecznie wyznać tajone nazwisko.

— Zgoda, księżno pani, ale ostrzegam, że nie umiem ufności mojej drobić na części. Jeżeli księżna wymożesz ode mnie, bym przed nią odkrył moje nazwisko, tem poniekąd nadasz mi prawo



obrać ją za powiernicę, dla której z mojej strony już nic tajnego nie pozostanie.

— I owszem; nadto wiele czuję dla ciebie wdzięczności, żebym nie chciała łąć twoją przyjaciółką.

— Po takiej zachęcie byłbym najnierozsądniejszym z ludzi, gdybym miał cokolwiek tajnego dla dostojnej księżnej. Pod dwoma nazwiskami mnie znają: jedno jest przybrane, drugie odziedziczyłem po przodkach moich. Za Dnieprem jestem Samuchą, hetmanem Zaporoskim; w Polsce jestem Samuelem Zborowskim, najmłodszym synem ostatniego kasztelana Krakowskiego.

— Jako, ten sławny Samucha, co tłumy pierzchających Tatarów zapędził aż na południowy brzeg Krymu, który chana do haniebnego rozjemstwa zmusił, i ten Samuel Zborowski, ów przestach rycerzów mieczowych, jest jedna i ta sama osoba teraz przede mną stojąca? Teraz dopiero przestaję się dziwić, żeś tak łatwo odnosił zwycięstwa dla nas i w naszej przytomności. Masz moją rękę, rycerzu, na znak, że ci we wszystkim pomoc przyrzekam.

— Ach księżno — rzekł pan Samuel, przykleknąwszy — los, szczęście, istnienie, chętnie powierzam tobie. Tajemnica serca mojego mnie ciąży, a jednak czuję, że nigdy nie odważę się jej wyjawić przed panią.

— I nie masz potrzeby jej wyjawić, bo ona nie jest dla mnie tajemnicą. Ty kochasz Gryzeldę — nieprawda?

— Tak jest, kocham ją i to jest właśnie przyczyną mojej rozpacz.

— Dlaczego? Ród Zborowskich nie tyle jest niższym od rodu Batorych, byś aż obraził księcia Siedmiogrodzkiego, podnosząc oczy na jego krew.

— Ale czy księżniczka bez urażenia się przeniknęła moje uczucia? Powiedz pani, czy mogę mieć z jej strony jakąkolwiek nadzieję?

— Na to, rycerzu, odpowiedzieć tobie nie umiem, bo my kobiety jesteśmy nierównie trudniejszemi do odgadnienia, niż wy. Licz jednak na moją przyjaźń, Samuelu, a jeśli pragniesz, by ta przyjaźń była dla ciebie skuteczną, ślepo słuchaj rad moich.

— Ach księżno! czy możesz wątpić o mojem posłuszeństwie? Mów, a każde słowo twoje stanie się dla mnie wyrocznią.

— Samuelu, aż nadto widocznie okazujesz jej twoją miłość i nie jesteś w stanie jej nie okazywać; wszakże wolno Gryzeldzie tego nie wiedzieć. Ale gdybyś odważył się wyznać jej swoją miłość, nie otrzymawszy upoważnienia jej stryja, obraziłbyś ją do tego stopnia, że choćby podzielała twoje uczucia, na zawsze zerwałaby z tobą wszelkie stosunki.

— A więc los rzucony; do samego Hermanstada będę księżnom towarzyszył. Tam dam się poznać księciu Stefanowi, tam będę go błagał, żeby mi wyjawiał, czem zasłużyć zdołam na rękę jego synowicy.

— Nie znasz księcia Stefana, jeżeli myślisz, że na jego przychyłność możesz teraz zasłużyć gdzie indziej, niż w Polsce. Gdybyś się przed nim pokazał, zadziwiłby się, że potomek tak zacnego rodu może o czem innem myśleć, oprócz o niej jednej, w czasie kiedy jeszcze jej losy się wazą. Kres twojej podróży jest nad brzegiem Dniestru, gdzie nas oczekują wysłani na nasze spotkanie wojownicy z Serbii, Siedmiogrodzian i Wołoszczyzny. Tam nas musisz pożegnać i tam iść, gdzie każe honor i Ojczyzna.

Tu przerwała jej mowę księżniczka wracająca od chorego.

— Księżna-ciotko — rzekła — wszystko najlepiej idzie. Jutro śmiało możemy stąd wyruszyć, gdyż chory naszej opieki już nie potrzebuje. Jeszcze kilka dni spoczynku, a będzie mógł sięść na konia i na nowo władać kopią. Ty rycerzu szlachetny, który jego zwyciężywszy, raczyłeś nim się opiekować, rozporządź jego losem, dopóki po przeprowadzeniu nas do Dniestru nie złączysz się z nim na nowo.

\*

\*



Pan Samuel wyszedłszy za próg, spotkał pana Kazimierza, który właśnie zamykał za sobą drzwi izby, gdzie leżał pan Ezechiel. Przybliżył się tedy do swego pana i rzekł:

— Wie pan, że to cudowna istota, ta księżna Siedmiogrodzka. Oto żona dla rycerza. Wszak po ostatnich kroplach tak się Ezechielowi zrobiło rzeżko, że napierał się, by mu pozwolono wstać z łóżka. A państwo cóż z sobą uradzili?

— Jutro wyruszymy ku Dniestrowi, a ciebie zostawię przy Ezechielu aż do mojego powrotu. Chciałem je odprowadzić aż do stolicy Siedmiogrodzia, ale księżna Rascyi, dla której już nie mam nic tajnego, postanowiła żebym je koniecznie pożegnał nad Dniestrem, a powracał do swoich.

— A widzi pan, jaka to mądra kobieta. Ot na moje wychodzi. Dlatego ja pana aż do Dniestru nie odstąpię, bo wiem, że jak rozstanieś się z swoją księżniczką, to wierny sługa i przyjaciel nie będzie zbytowym towarem. Ezechiel ma Swiryda, który na krok nie odstępuje swojego pana.

— Dobrze, mój poczciwy Kazimierzu, rozporządź wszystkim jak ci się podoba. A tymczasem podzielaj szczęście moje. Wiedz, że księżna Rascyi robi mi wielką nadzieję, że jak przybędę do Siedmiogrodu, rozumie się po uspokojeniu naszej Polski, zwłaszcza jeżeli mi się uda do tego przyczynić, to może otrzymam piękną Gryzeldę

z rąk jej stryja, który nie jest od tego, by ją widzieć usadowioną w Polsce.

— Znowu na moje wychodzi. A więc na tem stańło, że jutro puszczamy się ku Dniestrowi, a gdy będziemy tędy wracać, Ezechiela zabierzemy z sobą do Siczy. Jeszcze dni kilka, a już nieborak będzie mógł sięść na konia; bołą go wprawdzie jeszcze nieco kości, ale nie tyle ile wstyd, że mu pan tak prędko dałeś radę. Bo już wie ode mnie, z kim miał do czynienia. Niech pan ze mną teraz pójdzie do naszego chorego i jemu powie jakie dobre słowo, bo on strasznie ma na sercu swoje niepowodzenie.

— Chętnie mój Kazimierzu. Nie spodziewam się, by się miał na mnie urażać.

Jak pan Ezechiel obaczył pana Samuela, podniósł się na swojej pościeli na znak uszanowania. Pan Samuel siadł na krawędzi jego łóżka, wziął go za rękę i począł pocieszać w jego smutku. Zaś na znak swej przyjaźni i szacunku dlań, ofiarował Zdorze na pamiątkę kopię, która stała się przyczyną tak świetnego zwycięstwa dla Samuela, zwłaszcza że swoją pan Ezechiel pokruszył na zbroi czarnego rycerza. Gdy hetman Zaporoski odszedł, nie pomogły także wszelkie namowy pana Kazmierza, gdyż chory obstawał przy swoim, że prędzej nie uda się na Zaporozę, dopóki nie zdoła oczyścić swego honoru rycerskiego z poszlaki, że tak niecnie został pokonany. Nie spocznie więc prędzej,

dopóki nie uda mu się jeszcze raz zmierzyć z p. Samuelem. Ubolewając p. Kazimierz nad uporem swego towarzysza lat szkolnych, oświadczył zarazem, że mimo to nie traci nadziei. Wkońcu zaś dodał: My jutro odprowadzamy księżne aż do Dniestru. Za dni kilka da Bóg tu się zobaczymy. Tuszę, że jak kości przestaną ciebie boleć, a siądziesz w zupełnym rynsztunku na konia, to przełożysz szukanie z nami sławy i zysków pewnych nad służbę u którego z takich, co oprócz swojego dworu nie mają nikomu nic do rozkazania. Rozmyślaj to, co ci mówię, bo mnie trzeba robić przygotowania do jutrzejszej podróży...

\*

\*

\*

— Swirydzie — odezwał się pan Ezechiel, jak tylko Mroczek zostawił go samego. — Przynieś mi kopię, co mi ją z łaski swojej odstąpił p. Samuel.

To rzekłszy wstał z łóżka i zaczął się składać kopią.

— Jeszcze kości trochę bołą, jednak znacznie czuję się zdrowszym. Jakoś to będzie. Swirydzie, trzeba nam się wkrótce do pochodu zgotować. Jutro wszyscy stąd wyruszą ku Dniestrowi, ale pan Samuel z panem Kazimierzem za dni kilka mają tędy wracać. Otóż wypada nam tak zrobić, żeby nas tu nie zastali.

— A gdzie to mamy się przenieść?

— Do Krakowa, gdzie wedle podobieństwa próżnować nie będziemy. Jak tylko państwo wyjadą, ja przez dwa dni będę się wkładał do dźwigania mojej rycerskiej odzieży, ale powoli. Nie pojmuję, co się ze mną onegdaj stało. A wiesz, Swirydzie, że innie nie taki ból w kościach, jaki wstyd w sercu.

— A panie, tu wstydu niema. Gdyby człowiekowi zawsze się udawało, toby był charakternikiem, a nie rycerzem.

— Otóż panu Samuelowi zawsze się udaje, a jednak jego posadzić nie mogę, żeby miał z czartem przyjaźń. Bo pan Kazimierz za nic w świecie z takimby nie przestawał. A teraz posłuchaj, lecz żebyś o tem przed nikim nie pisał! Oto państwo odjadą, a trzeciego dnia po nich my wyruszym w pole. Już czuję się na siłach, że choć w pełnej zbroi, utrzymam się na koniu. Nie zapomnij jednak białą chustką obwinać żeleziec od kopii, bo pokąd będzie ślad bólu, potąd nie życzę sobie z nikim się potykać.

— Dlaczegożby pan nie miał jeszcze wypożyczyć cokolwiek dłużej?

— Nie, synu, to być nie może. Niech mnie Pan Bóg broni od tego, by mnie tu znalazł pan Samuel. Ja mam miękkie serce dla pana Kazimierza, on gotów we mnie jeszcze wmówić, żebym z nimi poszedł na Zaporozże, a ja tego nie chcę, bo to się nie zgadza z mojem poczuciem honoru. Będzie na

to czas później. Podaj-no mi opończę, gdyż pójdę się przywitać z moim rumakiem. Nieborak musi tęsknić po mnie. Widział jak mnie położono, a może nie wie, że wstałem. Widzisz, że nogi podę mną nie drgają. Ot i kopia pana Samuela zdaje się leksza! Odkąd urodziłem się, nie byłem tak zdrowym, jak się nim być spodziewam za kilka dni.

\*

\*

\*

Ledwo słońce pojawiło się na niebie, a już księżne z swoim orszakiem posuwały się ku ostatnim południowym krańcom ówczesnej Polski. W czasie dalszej podróży nie zaszło nic godnego wspomnienia i zbyt wczesnie nadeszła chwila rozstania. Pan Samuel w głębokim smutku pogrążony, nieomal od zmysłów odchodził na samo wspomnienie, że musi pożegnać się z istotą, która tak niepospolite miejsce zajęła w sercu jego. Gryzelda ogarnięta współczuciem, odezwała się drżącym głosem: Rycerzu, nie wążp o naszej życzliwości i bądź pewny, że aż do przyszłego zobaczenia się wspomnienia nasze towarzyszyć ci będą.

— Nie, pani, litości nie pragnę. Nie jest ona zdolną pogodzić mnie z dalszem mojem życiem.

— Czegoż więc żądasz, rycerzu!

— Nie pragnę ani obietnic, ani nic takiego, co by się sprzeciwiało twojej szlachetnej dumie. Żądam tylko, byś mi oddała na znak życzliwości tę szarfę błękitną, którą nosisz na sobie. Byś mi po-



zwoliła zawiesić ją na moim pancerzu; nie życia, ale tego drogiego znamienia bronić będę w moich potyczkach.

— Ach, ciotko, cóż ja z sobą pocznę? Ale niech i tak będzie! Przyjm tę moją szarfę, której barwa jest godłem prawości. Przyjm ją na znak upoważniający jakieś nadzieje, nie za znak jakiejś obietnicy, którejby mi nie było wolno dotrzymać, ale jako pamiątkę najczulszej życzliwości.

Na te słowa rozjaśniło się oblicze Samuela, szarfę zawiesił na pancerzu. Potem wziął rękę Gryzeldy, której smutek był nadto widoczny, ucałował tę rękę, chciał coś powiedzieć, bo kilkakrotnie usta otwierał, ale na żaden wyraz zdobyć się nie mógł. Przez chwil kilka trwała ta milcząca scena, dopóki rycerz nie zauważył, że lzy mimowoli natłokiem cisną się z oczu jego. Zawstydzony niemęską słabością, zakrył czoło szyszakiem, spuścił kratę od przyłbicy, a wspiąwszy ostrogi... odjechał...

## II.

Po długiem ociąganiu się, znaglony rozkazem brata swego, króla francuskiego, przybył nakoniec do Polski Henryk Walezyusz, więcej niż od roku obrany król Rzeczypospolitej. Był to człowiek leniwy, mało przystępny, podejrzanych obyczajów i to w sposobie u nas niesłyszczanym. W kilka dni po jego koronacyi można było widzieć, że jeżeli

był znudzony swoimi poddanymi, i oni nie mniej żalowali swojego wyboru. Panowie i szlachta często z sobą naradzali się o przyszłych losach Rzeczypospolitej, bo każdy przewidywał, że jak tylko król otrzyma wiadomość o śmierci brata, którego stan długiego żywota nie obiecywał, niebawem państwo opuści, gdzie nie znajduje tych zabaw, do jakich przywykł w Paryżu. Dla narady zbierano się często u Marcina Zborowskiego, marszałka wielkiego Koronnego. Był to człowiek dumny, światły, zwolennik oglądy zagranicznej, a chcący ją rozpowszechnić w całej Rzeczypospolitej. Liczne jego rodzeństwo a zarazem ich dostatki, jako też łatwość w obcowaniu i wiele niezaprzeczonych przymiotów, dały mu wówczas wielką przewagę w narodzie. Ale co mu najwięcej przydało wziętości, to brat jego Samuel. Jego uroda, rozrzutność, sława wielkich czynów, władza co ją dzierżył na Zaporozu, wszystko to nadzwyczajne wrażenie robiło na szlachcie. Z drugiej znowu strony łatwość, z jaką mówił językiem francuskim, wykwiństwo, z jaką ubierał siebie i swój dwór, nadzwyczajna piękność jego koni wierzchowych, odgłos miłości, którą pałał dla panującej księżniczki, to wszystko tak przypominało obyczaje dworu Walezyuszów, że francuzcy panowie z króleni przybyli, uważali go prawie za jednego ze swoich. Sam król dawał mu przystęp do swojej osoby, często z nim rozmawiał poufale i powszechnie mó-

wiono, że się zabierał obdarzyć jego swojemi łaskami.

Otóż za rządów króla Henryka Walezyusza mniej troszczono się o sprawy publiczne, a tem więcej zajmowano się turniejami, na których panowie Francuzi pozostający w otoczeniu króla, popisywali swą zręczność. Oczywiście, że Samuela Zborowskiego przy takich igrzyskach nigdy nie brakowało.

Zanim jednak przystąpimy do dalszego opowiadania, nadmienić należy że pan Mroczek po dwuletniej bytności na Zaporozżu, gdzie z polecenia p. Samuela sprawował rządy, przybył na wezwanie hetmana do Krakowa. Zdawszy sprawozdanie z swej czynności, postanowił odszukać swoich dawnych znajomych. W tym celu zwrócił swe kroki na ulicę Floryańską do p. Falendysza, właściciela winiarni, u którego przebywała wszystka szlachta goszcząca w Krakowie. Rozmawiając p. Mroczek właśnie z gospodarzem, wpadł szumnie szlachcic prosto na środek sali i w pędzie potracił pana Falendysza. Tenże wskutek tego uczuł w sobie gniew, ale gdy w oczy zajrzał przybyszowi, spuścił swoje i uklonił się przed nim z oznaką największej uniżoności. Obydwaj szlachcice natomiast wykrzyknęli: Ezechiel! — Kazimierz!... i nawzajem zaczęli się ścisnąć po przyjacielsku.

— Kochany Kazimierzu — rzekł do niego pan Ezechiel po tych przywitaniach — tyle razy mnie częstowałeś, że już nakoniec musisz pozwolić, bym cię ugościł ze swojego.

Przy kieliszku węgryzna poczęli tedy opowiadać swoje przygody, więc pan Kazimierz dowiedział się, że rodzice pana Ezechiela zmarli wkrótce po śmierci pana Zborowskiego, zostawiając jednakowi niemałą fortunę. Jak przywiozłem pieniądze do Krzeszowic, gdzie naówczas pełniłem służbę u p. Tęczyńskiego, pan hrabia mi zrobił uwagę, że gotowy grosz u mnie się rozlezie, a szlachcicowi potrzeba ziemi, żeby nie uciekła. Ponieważ zaś w Braclawskim na Rusi posiadał kilka wsi, jemu nie przyległych, więc mnie namówił, żebym je od niego nabył. Nie mając w tych rzeczach doświadczenia, we wszystkim spuściłem się na Swiryda i mojego pana i nie mam powodu tego żałować. Pod Krakowem w dodatku nabyłem Kosmyrzów, małą wioseczkę i w niej najczęściej przesiaduję.

— A któż u ciebie gospodaruje na Rusi?

— Swiryd i jeszcze ktoś.

— Co za ktoś?

— Na co to w kłaki obwijać, moja żona.

— Tyś się ożenił!?!

— Nie inaczej! — zaraz też pan Ezechiel począł opowiadać, jak we dworze za pannę respektową była niejakaś Barbara Starowiejska, po-



Przy kieliszku węgryzna poczeli opowiadać swoje przygody.

winowata z domem Tęczyńskich, pozostająca w wielkich względach u pani. Otóż tak się ukatowało, że został jej mężem, nie wiedząc jak.

— Zdaje się jednak, że żony nie kochasz; ubolewam nad jej losem.

— Oto także przyjaciel! nad nią, a nie nade mną ubolewa. A wiedz babiarzu, że gdybym był w niej szalenie zakochany, więcejby mnie nie zawojowała. To herod baba; widać że w niej jest coś z pańskiego rodu. Zaraz po weselu kazała i siebie zawieść na Ruś do moich wiosek, o których ani myślałem. Jak zajechała, tak zaraz wszystko w rękę wzięła, choć mnie ani szeląga nie wniosła. Gospodyni zawołana, sama rządzi, a mnie ani słowa powiedzieć nie wolno. Wkrótce tak wszystkich sług i poddanych pobałamuciła, że nawet mój Swiryd nie mnie, ale jej słucha. Szczęście, że mam tu swój Kosmyrzów, od niej za daleko, ażeby go w swoje ręce uchwyciła. Ona tam, a ja tu, ale trzy razy na rok przyjeżdżam do niej, jaki dziesięć dni razem przesiedzimy w najlepszej zgodzie, aż wkońcu następuje burza, kiedy się upominam o jaki grosz, a ona mi go dać nie chce. Twierdzi, że zbiera wszystko dla naszego synka, Kazia, twojego imiennika. Ale wkońcu daje mi coś jakby odczepnego, naładuje mi brykę różnymi przysmaczkami, naczęstowawszy na odjezdnem wszystkimi czułościami i odprowadza mnie do pierwszego popasu. Potem wraca

uradowana na swoje gospodarstwo, a ja jeszcze więcej uradowany, że się znowu oddalam na swobodne życie.

— W czepku się urodziłeś, Ezechielku; gdyby nie taka żona, dawnobyś już przeszastał swoją ojcowiznę.

— Tać jest coś w tem co mówisz; ale jakkolwiekbyś, choć nawet Pan Bóg obdarzył mnie spadkobiercą, wszelako żal mi mojego kawalerstwa... A ty Kaziu, powiedz mi, jak się tobie powodzi?

— Zawsze dobrze, a teraz lepiej niż kiedy, bo mój ojciec już dał się przeprosić. A jak Bóg da, że pana Samuela cała Rzeczpospolita przyzna hetmanem, i pan Kazimierz Mroczek, pisarz rejestrowy, coś będzie znaczył w Krakowie... Cóż Ezechielku, nie mówisz mi, czy bywasz u dawnych twoich panów? Czy zawsze coś czujesz do pana Samuela?

— Ja u panów Zborowskich nie bywam i nie znam innych zwierzchników, jak tylko Boga na Niebie, a króla Henryka na ziemi. Pojutrze będą turnieje; wiesz że jeżeli szlachcic na nich się spisze, to dobra sprawa. Kogo zwali, tego konia i zbroję dostanie w zysku. A tu i konie i zbroje będą nadzwyczajnej wartości. A ty Kazimierzu, czy nie myślisz się na nich popisywać?

— Spóźniłem się nieco, bo dopiero dziś przybyłem do Krakowa; spis rycerzów pana Samuela

już jest zamknięty, a w przeciwnej stronie księcia Janusza Radziwiłła nie godzi mi się szukać szczęścia.

— Wielce się cieszę, że nie będziesz czynnym na tych igrzyskach.

— A to czemu?

— Przecież wiesz, że to zawsze bojące żarty. Na co się nam przydało bawić sobą drugich? Nieprawda?

— Nie rozumiem ciebie, Ezechielu; dopiero powiedzałeś, że wielki zysk dla szlachcica popisać się na turnieju, a teraz mówisz, że to niedobra zabawa. Mnie się przeto zdawało, że staniesz w szrankach.

— Nie, nie, ani myślę. To tak się mówiło z przyzwyczajenia, aby mówić. No Kazimierzu, nie chcę tobie przeszkadzać; ja wiem, że masz do mówienia z panem Samuelem, boś go dawno nie widział, a ja mam także swoje sprawy do załatwienia. Czy zobaczymy się jeszcze?

— A jakże; tyś mnie dziś uczęstował, pozwólże, bym ciebie poczęstował jutro.

— Zgoda, jutro o tej samej porze stawię się u Falendysza. Pojutrze turniej, więc inna zabawa, a przerwa w winiarni; ale po odbytych turniejach znowu na mnie kolej. Ale już nie u Falendysza, ale u mnie na wsi; nieprawda, Kazimierzu? Przecie muszę pochwalić się przed tobą moim gospodarstwem.

\* \* \*



Nadszedł dzień turnieju. Na rozłożystem błoni, które dotyka Kłeparza, widać było wysoki parkan z ostrokołów, zajmujący przestrzeń kilkuset sążni. Były to szranki przeznaczone na igrzyska rycerskie. Wokoło amfiteatru wznosiły się galerye ubrane w bogate kobierce dla widzów obojga płci, tak z senatorskiego jak i rycerskiego stanu, a między temi galeryami i obszernością i bogactwem odznaczała się królewska, ozdobiona chorągwiami, na których jednoczyły się: Orzeł polski — Pogoń litewska i Lilie francuskie. Już widzowie zajęli swoje miejsca, już mnóstwo rycerzów w pełnej zbroi, których twarze zakryte były tak, że tylko po ich godłach można było ich rozpoznać, stali przy rumakach swoich, następnie przybyli sędziowie, poczem wszyscy tylko na króla czekali.

Nakoniec dał się słyszeć huk dział, odgłos trąb i kotłów, zwiastujących przybycie monarchy. Król jechał na białym koniu, z grzywą, ogonem i kopytami czarnymi, prześliczny płód andaluzyjskich dolin, dar króla hiszpańskiego. Gdy z orszakiem wjechał w oparkanione koło, cała publiczność, zniewolona i majestatem jego godności i nadobnością jego postawy, powitała go okrzykiem czci i uwielbienia. On zdjęciem czapki z wdziękiem wszystkim podziękował, zastanowiwszy się chwil kilka na środku amfiteatru, czem do reszty zobowiązał widzów, poczem nakrywszy

głowę, poważnie postąpił aż pod swój balkon królewski. Tam zsiadł z konia i zajął miejsce wraz z panami z nim przybyłymi. Na znak dany przez króla, heroldowie (dozorcy nad turniejami) w środku szranków stanęli, a po przeczytaniu warunków i praw turnieju wrócili na swoje miejsca.

Igrzyska rozpoczęły się od pojedynczych utarczek. Wodzowie dwóch obozów otworzyli turniej, jeden na drugiego nacierając. Książę Janusz Radziwiłł miał na sobie zbroję połyskującą się jak zwierciadło. Jego szyszak był ozdobiony blachą złotą, a na puklerzu nosił trąby Radziwiłłowskie w Orle Rzeszy niemieckiej.

Samuel Zborowski miał zbroję z jorkskiej stali, złotem nabitą w girlandę, roboty precyzyjnej; na zbroi była zawieszona szarfa błękitna, już znana czytelnikowi. Obaj rycerze natarli na siebie całkowitym pędem swoich wiatronożnych rumaków. Na środku poboju natknęli się kopiami o pancerze, obie kopie na drobne kawałki się roztrząsały, ale ani jeden ani drugi rycerz nie opuścił strzemion. Stanęli jak skały nieruchome, więc odgłos powszechny uwielbienia dał się słyszeć ze wszystkich galeryi. Wodzowie po tem dzielnem spotkaniu się wrócili każdy na swoje miejsce. Za nimi inni rycerze popisywali się, wszakże równy był wymiar szczęścia tak dla jednej, jako i dla drugiej strony. Każda albowiem z początku miała 24 rycerzy, a już tylko 15 liczyła, bo wedle po-

rządu przepisanego od króla, rycerz który opuścił siodło, już nie miał prawa walczyć.

Po tych wszystkich pojedynczych szermach, stosownie do programu turnieju, przyszło do ogólnej bitwy na ostre. Każdy zapaśnik użyć mógł wedle woli kopii, toporu, czekana i miecza. Rzucili się więc na środek bojowiska, jak dwie chmury gradowe. W tej strasznej utarczce przez chwil kilka los zdał się nie sprzyjać księciu Radziwiłłowi, bo ze strony jemu przeciwnej trzech rycerzów rannych wyniesiono ze szranek, a on pięciu utracił. Już zwycięstwo zaczęło się przechylać ku pocztowi pana Samuela, któremu niepodobna było dotrzymać, ale wkrótce szala się zrównoważyła. Bo w czasie kiedy pan Samuel zażartą bitwę toczył z panem Zawiszą, a kilka rycerzy z jego pocztu nie dopuszczali księciu Radziwiłłowi biegnąć w pomoc panu Zawiszy, jeden rycerz z pocztu księcia, który w pojedynczych harcach nie brał udziału, prawdopodobnie ażeby siły swoje oszczędzić, padł z szybkością kamienia toczącego się ze stromej góry ku dolinie na odsiecz księciu Januszowi.

Pierwszy, który doznał jego ręki, był młodzieniec rozpoczynający swój zawód rycerski, Stanisław Myszkowski, podkomorzyc Krakowski, dziedzic obszernych włości, a rodzony siostrzan Zborowskich. Jeden z francuskich rycerzy chciał pomścić kolegę, rzucił się na zwycięzcę i raził go

mieczem po szyszaku tak, że głęboką szczerbą napiętnował na nim świadectwo swojej siły. Rycerz ani się zachwiał; ale miecz szybko zawiesiwszy na temblaku, porwał topór i w oka mgnieniu ugodził nim w przód pancerza. Francuz wytrzymać nie mógł podobnego pocisku, padł na tył swojego rumaka, a rycerz przyskoczył do niego i nie dając mu czasu powstać na siodle, ręką go zrzucił. Padł zwalczony i powstał, ale utrzymać nie mógł się na nogach, a krew mu się puściła z gęby.

Odgłos uwielbienia podniósł się ze wszystkich galeryi za to podwójne zwycięstwo, a książę Janusz swobodnie pośpieszył na odsiecz Zawiszy. Jeszcze chwil kilka, a byłoby zapóźno, bo już upadać zaczynał pod niezmordowanemi uderzeniami pana Samuela i widocznie coraz słabiej się składał. Zwycięstwo nieznanego rycerza przechyliło szalę szczęścia ku stronie księcia Janusza. Poczet przeciwny mimo cudów waleczności już zaczął się cofać ku balkonowi królewskiemu, co widząc pan Samuel, odstąpił od wpół zwyciężonego Zawiszy i od księcia Radziwiłła, śpiesząc do swoich. Na wstępie powalił dwu rycerzy, którzy przed innymi się byli wysunęli i zmusił nacierających do cofnienia.

Znowu wszczęła się straszna bitwa. Krzyżowały się miecze dzielnych zapaśników, z brzeszczotów sypały się iskry rozciągle, jak ogony komet. Już z tych oddziałów tylko drobna kupka

pozostała. Wszyscy inni ranni, albo dobrze potłuczeni, już wyniesieni byli z pobojuwiska przez giermków. Podczas gdy oba szczątki wydzierały sobie uporczywie zwycięstwo, księżę Radziwiłł i Samuel Zborowski przedłużali bitwę. Pan Samuel zagrzany chęcią skończenia tej walki, a poznawszy że jego koń zwinniejszy od księżęcego rumaka, wkoło niego zaczął się kręcić, by go wziąć w obroty. Obracał się znużony księżę, składał się mieczem, wtem pan Samuel dobywszy wszystkich sił, uderzył w głowę przeciwnika tak potężnie, że aż szyszak się rozdwoił i odkrył wybladłe ze znużenia lice. Pan Samuel nie dał mu odpocząć, przyskoczył do niego chcąc go rękoma powalić o ziemię, ale nieznajomy rycerz chociaż osaczony przeciwnikami, widząc niebezpieczeństwo Radziwiłła, opuścił wszystko a przybiegł na odsiecz księciu. Napadłszy z tyłu na Samuela, uchwycił go zniemacka za szyszak i tak go zerwał, że pan Samuel tyle tylko miał czasu, iż spiał konia ostrogami i tem wyrwał się od przeciwnika. Ale i księżę skorzystał z tego ratunku, żeby odskoczyć do swoich giermków, którzy mu zdjęli uszkodzony szyszak, a nowy włożyli.

Pan Samuel już nie myślał mu przeszkadzać, ale cały swój gniew obrócił na rycerza, który dopiero jego siostrzeńca powalił, a teraz mu wydarł pewne zwycięstwo. Wszczęła się między nimi walka najuporczywsza w całym tym turnieju, bo

już nie na miecze, ale na topory. Na rozkaz króla wszyscy musieli zaprzestać walkę oprócz dwu ostatnich rycerzy, których bój miał zakończyć turniej. Długi czas ani na jedną, ani na drugą stronę walka się rozstrzygnąć nie mogła. Strumienie potu lały się z rumaków i słyszeć się dawały prośby do króla, żeby dał znak do rozejmu i podzielił nagrodę między równymi dzielnością przeciwnikami. Już król zabierał się kazać zatrąbić hasło końca gonitwy, kiedy nowa okoliczność sprawiła powszechne zadziwienie. Pan Samuel, zniecierpliwiony tak statecznym oporem, raptem się rzucił na przeciwnika i cisnąwszy topór o ziemię, z szybkością błyskawicy obiema ramionami objął go w pól, usiłując ściągnąć z konia. Udało mu się go uchwycić, ale przeciwnik nawzajem porwał go za ramię, i cały na nim się zwiesił, aż nakoniec po kilku chwilach przeważony własnym ciężarem, powalił się, ale pociągnął za sobą pana Samuela. Padli obaj rycerze ale Zborowski pierwszy powstał i z mieczem dobytym przyskoczył do przeciwnika. Ten chciał się jeszcze bronić, ale na nie szczęście miecz, który go rzadko zawodził, w gwałtownym upadku rycerza tak głęboko wrył się w ziemię, że zwłaszcza przy osłabionych siłach wydobyć go nie mógł. Pan Samuel klął na jego piersiach, a dobywszy pugiuału, przyłożył go do szyi i krzyknął: Proś, żebym ci darował życie, albo to żelazo wtopię ci w gardło!...

Tu surma zgody słyszeć się dała. Sędziowie turnieju przybiegłszy, oswobodzili przyduszonego rycerza, który wedle praw rycerskich musiał zdjąć szyszak, żeby się dać poznać swojemu zwycięzcy.

Pan Samuel poznał... Ezechiela Zdorę... I zamiast coby miał okazać jakiś dowód szacunku dzielnemu mężowi, nad którym zwycięstwo tyle go kosztowało trudu, w zapamiętałości rzucił na niego wzrok pogardy i wobec całej publiczności odważył się powiedzieć panu Tęczyńskiemu, sędziemu turnieju:

— Sameś waszmość nie odważył się ze mną potykać, jako z równym krwią i imieniem, ale wyprawileś na mnie swojego służalca; lecz ja na waściny karku odwetuję moją krzywdę!

Na tę zniewagę szlacheckiego stanu szmer powszechny powstał ze wszystkich prawie gale-ryi. Dawaly się nawet słyszeć odgrażania szlachty naprzeciw panu Samuelowi. Krzyczano że krzywda p. Zdory jest wszystkich krzywdą, a oni krzywdzić się nie dadzą. Skoro pan hetman Zaporoski pomiata ubogą szlachtą, która nie mając własnego chleba je chleb możniejszych swoich braci, ogłaszamy za człowieka bez czci każdego szlachcica, który jemu służyć będzie.

Kilku nierozważnemi słowy, w jednej chwili pan Samuel utracił całą swoją wziętość u szlachty. Brat jego, pan marszałek Koronny, poznał niebezpieczeństwo grożące jego domowi, gdyż w na-

szym narodzie przewaga panów nie opierała się na żadnem prawie, ani na łasce królów, ani nawet na szerokich włościach, lecz jedynie na przywiązaniu szlachty, jedynej samowładczyni Rzeczypospolitej. Wybiegł przeto z galeryi królewskiej do brata i usiłował go przekonać, żeby przeprosił p. Ezechiela, a tym krokiem ułagodził kipiące umysły. Ale dumny pan Samuel nie tylko że do tego nie dał się nakłonić, wyzywając i nie przestając lżyć pana Tęczyńskiego pogroźkami, mimo siebie puszczając jego senatorską godność.

\*

\*

\*

Wedle praw rycerskich pan Samuel ogłoszonym został zwycięzcą turnieju i otrzymał od króla w nagrodę kitę brylantową wysokiej wartości. Jednak nie można było mu przyznać bezwarunkowego zwycięstwa, bo i z przeciwnej strony ani wódz, książę Radziwiłł, ani też pozostali zdrowi rycerze nie mogli się przyznać, że zupełnie byli zwyciężonymi. Osoby zbliżone do króla, a świadome ducha polskiego, zaczynając od marszałka koronnego, poznały do jakiego stopnia umysły szlachty były poburzone przeciwko panu Samuelowi. I dlatego zdolali namówić go, żeby nadto wielkimi uczczeniami nie nagradzał niemilego dla niej zwycięzcy, ale żeby się okazał łaskawym dla strony przeciwnej, a zwłaszcza dla p. Ezechiela Zdory, którego szlachta na rękach nosiła, jedynie



żeby okazać niechęć panu Samuelowi. Król polecił go więc zaprosić do stołu swojego i uwieńczył jego męstwo szczerozłotym łańcuchem, który własnoręcznie mu włożył na szyję. Zaś sędziowie turnieju przysadzili mu trzy konie i tyleż zbroi, wszystko niemałej wartości. Wskutek tego pan Ezechiel tak się czuł uradowany, że nie zważał na groźne i pogardliwe spojrzenia miotane na niego przez pana Samuela.

Po skończonej uczcie u króla, do późnej nocy bawili u niego panowie, rada i co pierwszy raz im się wydarzyło od jego przybycia do Krakowa, słyszeli go mówiącego o rzeczach publicznych. Gdy ich monarcha pożegnał, rozmawiając, doszli aż poza zwodzony most zamku, gdzie pojazdy na nich czekały. Bracia Zborowscy wszyscy stali we wspólnej kamienicy, która wznosiła się na tem samem miejscu, gdzie dziś jest kamienica nazwana szarą. Pan Samuel tak spoczynku potrzebował, że gdy się dostał do swojej komnaty, nawet z Mroczkim nie rozmawiając, jak najspieszniej obnażył się z szat i rzucił na końską skórę, a nie przebudzając się, spał aż do ósmej z rana.

Zaledwie wstał z łoża, oznajmiono mu przybycie braci jego: pana marszałka koronnego i pana kasztelana Gnieźnieńskiego. Obydwaj panowie wspólnie z panem Mroczkim zaczęli przymawiać, aby Samuel starał się niezwłocznie przeprosić

pana Zdorę, a tem samem pogodzić ze szlachtą. Długo sromął się hetman Zaporoski, dowodząc, że nie godzi się, aby ugiął kark przed ludźmi, którzy z galeryi miotali nań obelżywe wyrazy. Wymowa p. Kazimierza jednak wkońcu go przekonała, że powinien odwiedzić Ezechiela i obdarzyć rynsztunkiem rycerskim. — Biedak ten z radości ledwo nie oszaleje, gdy to nastąpi, mówił ataman kozacki do swego hetmana. W ten sposób zostaniesz na nowo bożyszczem szlachty — prawil w dalszym ciągu pan Kazimierz — Ezechiel zaś nie przestanie gardłować za ciebie i bez wahania się na rękę wyzwie każdego, który w jego obecności nazwie ciebie dumnym.

Jakoż postanowiono, że po odbytem posłuchaniu u króla około południa, niebawem obydwoje udadzą się do Kosmyrzowa, zabierając z sobą zbroję według upodobania pana Kazimierza.

Gdy czas wyznaczony nadszedł, kazał pan Samuel zaprządz kolasę, a siadłszy w nią, ruszył prosto do zamku. Trzeba było takiego wypadku, że pierwszą osobą, z którą się zetknął na moście zwodowym, był pan Tęczyński. Gdyby pan Tęczyński był jego powitał uprzejmie, możeby pan Samuel oddawszy dobre za nadobne, był poszedł dalej. Ale pan Tęczyński równy jemu w urodzeniu, wyższy urzędem, a nie mniej od niego dumny, oczekiwał pierwszego ze strony pana Samuela po-

witania i poszedł, udając że go nie widzi. Rozsierdzony Zborowski przystąpił więc do niego i powiedział mu:

— Kogo waść się boisz, temu przynajmniej się kłaniaj.

— Boga tylko się boję — odparł Tęczyński — a ludzi swarliwych unikam.

W dalszym ciągu padło jeszcze kilka zwrotów, którymi pan Samuel jeszcze więcej dotknięty, zawołał: Broń się, a nie trąb mi w uszy swoimi morałami.

— Na miłość Boga, panie Zborowski, jeżeli gwałtem na mnie wymusisz, że dobędę szabli, patrz ile okażę świadków, że w tem nie było udziału mojej woli.

— Jeżeli się bronić nie będziesz — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem p. Samuel — nie brzeszczotem, ale samą klingą przy tych wszystkich przytomnych ciebie zhańbię.

Pan Tęczyński dobył miecza i bić się zaczęli. W tej samej chwili król z kilku dworzanami pokazał się właśnie na tym balkonie, który był od strony zwodowego mostu, a choć słyszeć nie mogli walczących mowy, oczywiście mogli wziąć przekonanie, że pan Samuel wyraźnie szukał zaczepki. Król dał rozkaz stojącemu blisko niego p. Wapowskiemu, żeby jak najspieszniej biegł za most i w imieniu króla dał obydwom rozkaz scho-

wać miecze w pochwę. Pan Wapowski niebawem wybiegł i trafił w porę, a wpadając między walczących, zawołał:

— A co się waszmościom stało? Wszakże król jegomość patrzy na obrazę majestatu! Schowajcie natychmiast szable i stawcie się przed królem, żeby mu zdać liczbę z waszego szaleństwa, a prosić go o przebaczenie. Bo pokąd szable się nie szcerwienią, potąd jeszcze będzie można to wystawić za niewinną igraszkę.

— Ustąp! — krzyknął pan Samuel w największem uniesieniu — a nie wdawaj się w nieswoją rzecz. Jak położę tego nikczemnika, dopiero będzie pora dla mnie wytłomaczyć się przed królem.

— Ja na to nie pozwolę — rzecze pan Wapowski — byście przedłużali to, co jest zbrodnią Stanu. Panowie bracia, co jesteście świadkami tego bezprawia, w imię prawa i króla powołuję was, byście mi pomogli do rozdzielenia tych panów.

Kilkunastu szlachty dobyło szabli i przyskoczyli do nich. Pan Tęczyński schował swoją i cofnął się ku dziańcowi zamkowemu. Ale p. Samuel ze złości przytomność stracił. W lewem ręku miał czekan, a że obiema rękoma zarówno władał, cisnął go na pana Wapowskiego i w sam łeb go ugodził. Drgnął nieszczęśliwy senator i padł bez duszy pod okiem króla, dworu i szlachty zebranej na moście...



A co się waszmościom stało? Wszakże król jegomościę patrzy na obrazę majestatu!

Krzyk zgrozy powstał z coraz zwiększającego się tłumu, bo wiele sług dworu królewskiego już było na moście.

— Zabójca! rozbójnik! — krzyczeli wszyscy razem. Ani jeden głos przychylny nie dał się słyszeć dla pana Samuela. Rozgniewana szlachta rzuciła się na niego tłumnie, żeby go rozsiekać. Pan Samuel mieczem otworzył sobie drogę wśród tego tłumu. Jeden przeciwko kilkudziesięciu walczył: kto się zbliżył do niego, doświadczył siły niezwalczonej prawicy. Szyjąc się przy żelaznej poręczy zwodowego mostu, kiedy szlachta z której strony przybliżała się do niego, on się na nią rzucał, a wszyscy ustępowali jak fala morska od skały. Potem znowu powolnym krokiem postępował. Było to piękne widowisko: jeden walczył przeciwko kilkudziesięciu i pomimo ich woli szedł, gdzie mu się iść chciało.

Król patrząc na to, nie mógł się wstrzymać od oznak uwielbienia dla nieustraszonego rycerza.

— Idźcie państwo i pomóżcie mu dostać się do swojego mieszkania, a przekonajcie szlachtę, że hańbi się swoim postępkiem.

Dworzanie wypadli na most i oświadczyli szlachcie wolę królewską. Szlachta posłuszna natychmiast się rozeszła, a pan Samuel swobodnie dostał się do swego mieszkania.

\*

\*

\*

W czasie, kiedy pan Samuel przedzierał się do miasta, przyjaciele i słudzy domu Wapowskich porwali ciało nieboszczyka kasztelana i zanieśli je przed okna pokoju króla, błagając o zemstę. Na dziedzińcu zamkowym wszczął się tumult, który dopiero uspokojony został, kiedy księżę Prymas i panowie Rady wyszli naprzeciw tłumowi, oświadczając, że najjaśniejszemu panu obowiązków jego przypominać niema potrzeby, że jak najrychlej sprawiedliwość będzie wymierzona i że rozkazują w imieniu prawa, aby się natychmiast rozeszli, a ciało niewinnej ofiary odnieśli wdowie i sierotom po dostojnym mężu pozostałym.

Ale kiedy o tem co się stało gruchnęła wieść po mieście, napełnionem szlachtą, nadzwyczajny ruch powstał. Liczni stronnicy domów Wapowskich, Konicpolskich, Tęczyńskich w niepohamowanej złości zabierali się napaść kamienicę Zborowskich. Rynek przybrał wnet postać obozu. Tłumy szlachty uzbrojonej snuły się po tej części, która dotykała kamienicy Zborowskich. Ich oczy rzuciły pociski złowieszcze na okna, przy których widzieć się dawali w zupełnym rynsztunku uzbrojeni przyjaciele i słudzy Zborowskich, gotowi się odpiierać siłą.

Jeszcze ledwo dwie a najwyżej trzy godziny upłynęły od nieszczęśliwego zdarzenia, a już pani Wapowska i jej obydwie córki, czarno ubrane z rozpuszczonymi włosami, wmieszane w szeregi

szlachty, błagały u nich zemsty i zachęcały do rozpoczęcia bitwy. Szlachta na widok błagających tyłu wdzięków kipiała gniewem i oczekiwała niecierpliwie przybycia dwóch śmigłownic, które z pałacu Wapowskich ciągnąć miały na rynek, żeby kamienicę panów Zborowskich gruzami nasypać, a tym sposobem zmusić jej załogę do wyjścia w pole.

Byłoby przyszło niechybnie do wielkiego zajścia, gdyby nie panowie Koniecpolski, wojewoda Kijowski i rozumny Jan Zamojski. Podczas gdy pierwszy prawdziwie ojcowskim głosem uspokajał panią Wapowską, drugi równie szczęśliwie przekonywał szlachtę. Ostatecznie udało im się wzburzone umysły uspokoić i spowodować zebrane tłumy do rozejścia.

\*

\*

\*

Panowie Zborowscy dobywali wszystkich sił, żeby ocalić brata. Ale nie wiele dobrego wróżyli z następstw, jakie mogły wyniknąć dla niego z sądu. Pan Samuel umiał oceniać życzliwość braci, tem więcej że oprócz marszałka i kasztelana Gnieźnieńskiego jeszcze inni, rozpierzchnięci w różnych częściach Polski, zjechali do Krakowa, jak tylko dowiedzieli się o przygodzie brata. Nawet pan Zamojski nie omieszkał służyć przyjacielskimi radami.

Nadszedł wreszcie dzień rozpraw sądowych. Sala zamkowa, jakkolwiek obszerna, tak była na-



pełniona szlachtą, że trudno przez nią się przecisnąć. Król siedział na tronie, a wokoło niego siedmiu wybranych dostojnych mężów, z których czterech z senatorskiego stanu, dla dania mu rady i tłumaczenia tego, co się odbywało prawie w obcym dla niego języku, bo król słabo znał łacinę.

Po dzielnem przemówieniu zarówno strony skarżącej jako też oskarżonego, a nadto przesłuchaniu wezwanych na sąd świadków, cofnęli się sędziowie na naradę do sali ustępczej. Po krótkim czasie wrócono, ogłaszając wyrok królewski, na mocy którego skazano pana Samuela na banicyę czyli wygnanie z kraju, nie dotykając jego majątku. Zostawiono mu nawet kilkanaście tygodni czasu do ułożenia swoich interesów i wyniesienia się z Rzeczypospolitej.

Po ogłoszeniu wyroku ani jedna ani druga strona nie przyszła dziękować królowi, jak to było w obyczaju. Wszyscy coprędzej rozeszli się z oznakami gniewu, mniej lub więcej jawnemi.

### III.

Pan Samuel czasu nie stracił, ani chciał korzystać z terminu zostawionego sobie wyrokiem królewskim. Zarząd wszystkich dóbr swoich przyznał braciom rodzonym, panu kasztelanowi Gnieźnieńskiemu i panu Krzysztofowi. W towarzystwie zaś pana Mrocza, Zdory i kilku sług i przyjaciół, we dwadzieścia koni puścił się ku Zaporozu.

Droga jemu wypadła przez ziemię Przemyślską i ku niej obrócił kroki. Ale drugiego dnia pochodu rzucił się nagle w prawo ku Karpackim góróm, słuchając rady p. Mroczka, że najwłaściwiej dla niego przez Węgry i Siedmiogród dostać się do Zaporozża, aby w ziemi Przemyślskiej nie drażnić stronników pani Wapowskiej. Ta rada trafiła do przekonania pana Samuela, ile że idąc za nią, miał sposobność widzenia się z księżniczką Gryzeldą i złożenia jej u nóg nagrody, którą był otrzymał na tym turnieju, gdzie zebrał tyle warzynów, ale który był pierwszą przyczyną jego tułactwa.

Stanąwszy raz w Hermansztadzie, zamiast coby miał myśleć o oczyszczeniu siebie i niebawem w dalszą puścić się podróż, oddał się próżnowaniu, gdy tymczasem każda chwila powinna jemu być drogą. Gdyby udał się na swoje Zaporozże, jako wódz bitnego narodu mógłby świetnymi czynami zatrzeć hańbę wyroku królewskiego i zasłużyć się tej Rzeczypospolitej tyle, by nawet jej zwierzchność zniewolić do wejścia z nim w umowy, ażeby zdjąć wszelką tamę jego dalszym korzystnym usługom. On jednak o wszystkim zapomniał. Napróżno kozactwo wysyłało gońca po gońcu, zapraszając go do powrotu; napróżno do tego naglił go jego wierny Mroczek, — człowiek, dla którego Stefan Batory wielki powziął i uacu-



Panowie Tęczyński i Zebrzydowski na samej  
granicy śląskiej go dopędzili.

nek. Nareszcie kozactwo sprzykrzywszy sobie bezrząd, ogłosiło drugiego hetmana...

W czasie tym król Henryk dowiedziawszy się o śmierci brata, uciekł z Polski. Panowie Tęczyński i Zebrzydowski byli się za nim puścili w poгон i na samej granicy śląskiej, w okolicy dzisiejszego miasta Pszczyny, go dopędzili. Było tam wiele gadania, koniec końców król nie chciał wrócić, ale najuroczyściej przyrzekł powrót za sześć miesięcy. Owóż tedy nie sześć miesięcy ale nieomal cały rok na niego czekano w Polsce, aż wkońcu ogłoszono bezkrólewie, poczem za przyczynieniem się Jana Zamojskiego, braci Zborowskich ze względu na Samuela i innych panów, obrano królem Stefana Batorego. W Krakowie bowiem mówiono powszechnie, że piękna Gryzelda podbiła serce hetmana Zaporoskiego i że tenże stara się o jej dozgonną przyjaźń, czemu ksiązę Siedmiogrodzki zdaje się wcale nie sprzeciwiać.

Niebawem nadeszła też urzędowa a oczekiwana wieść o jednomyślnym oborze Stefana Batorego na króla polskiego. Był to zapewne niemały zaszczyt dla księcia-holdownika, być powołanym jednomyślną wolą wielkiego narodu do zajęcia miejsca między pomazańcami Bożymi, z lennika królów postąpić na ich brata i stanąć na równi z najpotężniejszymi mocarzami świata.

Po odbytej audyencji i podpisaniu Pactów Conventów (w politycznem prawie polskiem dobro-

wolna umowa narodu z królem obieralnym, mocą której określano wzajemne obowiązki) król posłów przywołał do swojego gabinetu i z nimi pracował do wieczora. Tutaj wspólnie uradzono, ażeby pan Samuel chwilowo nie pokazywał się w Krakowie, ale udał się prosto do chorągwi swojej, która w Inflanciech stoi. Tam niech czeka skutku starań i zabiegów przyjaciół i krewnych, którzy poparci życzliwością króla Stefana, niczego nie zaniedbają, ażeby zmiękczyć serce p. Wapowskiej. Spodziewać należy się, że pan Samuel tyle zjedna sobie chwały w wojnie, do której Rzeczpospolita się gotuje, że cały naród odezwie się za nim do jego nieprzyjaciółki i że ona sama pozna, iż nie przystoi wdowie senatorskiej nastawać naprzeciw męża zasłużonego królowi i ojczyźnie, a który miłość i szacunek pozyskał w narodzie. Wiedzieć bowiem należy, że każdy starosta Rzeczypospolitej, w którego okręgu pan Samuel jako banita by się pokazał, miał prawo go chwycić i oddać pod miecz. Temu zarówno król jako i życiwi mu przyjaciele, a między nimi Zamojski, chcieli zapobiedz.

Nazajutrz nowomianowany król kazał przywołać do siebie pana Mrocza, wyprawiając go na Zaporoże, lecz nie jako atamana ale umocowanego Rzeczypospolitej.

— Naszem życzeniem byłoby — mówił król Stefan — widzieć pana Samuela ich hetmanem,

jakim był wprzódy. Wszakże nie jesteśmy przeciwni ich hetmanowi. Wiemy, że najściślejsza przyjaźń łączy waszmości z p. Samuelem, ale wiemy i o tem, że waszmości pierwsze obowiązki są dla Rzeczypospolitej. Byle więc hetman złożył przysięgę wierności i posłuszeństwa nam i Rzeczypospolitej, chętnie potwierdzimy go w dostojności, które od swoich towarzyszków broni otrzymał. Zabezpieczamy im wolny wybór wszystkich urzędów, tak wojskowych jako i sądowniczych; przyrzekamy słowem królewskim, że krzesła wszystkich województw ruskich nie będziemy obsadzali, tylko rodowitymi i osiadłymi Rusinami. Postaramy się nawet, ażeby ich władcykowie umieszczeni byli w senacie Rzeczypospolitej. A za te wszystkie dobrodziejstwa nic więcej nie wymagamy, tylko żeby hetman ruski z 20 tysiącami kozaków był zawsze gotowym na nasze rozkazy. Pisarstwo kozackie dotąd nikomu nie oddane; wiemy, że kozacy czekają na waszmości, karmiąc się nadzieją, że do nich przybędziesz. Ja waszmości upoważniam, ażebyś starał się o ten urząd. Tak więc wszystko z ufnością zdajemy na wierność i roztropność waszmości. Zastrzegamy jednak, że wszystko co jest między nami, nikomu nie powinno być wiadome.

Pozostał jeszcze pan Ezechiel, którego łaska królewska użyła do urządzenia nowej chorągwi królewskiej, mającej pozostawać pod dowództwem



Nazajutrz nowomianowany król kazał przywołać ,  
do siebie Mroczka.

Zdory. Wszyscy trzej towarzysze broni niebawem opuścili Siedmiogród, każdy w inną stronę.

\* \* \*

Od tego czasu kilka lat upłynęło. Polska pod szczęśliwym przewodem Stefana odzyskała Połock i Smoleńsk, utwierdziła do siebie kozaków Ukraińskich nadaniem im przywilejów, stawiających ich na równi z szlachtą polską i litewską. Nigdy Polska na równie wysokim stopniu nie stała, właśnie dlatego, że nigdy najwyższa władza nie była równie energiczna, równie ściśnięta w rękach panującego. Stefan szanował prawa, ale też baczył, żeby one otrzymywały posłuszeństwo i wykonanie od wszystkich. A w przestrzeganiu praw będąc nieugiętym, tak wielką miłość zyskał u szlachty, że nie było króla dziedzicznego i samowładnego, któryby więcej od niego był panem swojego narodu. W tem wszystkim królowi dzielnie pomagał Jan Zamojski, ówczesny kanclerz koronny, posiadający nieograniczone zaufanie monarchy. Stąd powstała ku Zamojskiemu nienawiść Zborowskich i ich przyjaciół i tylko bojaźń, co ją wzniecał król, wstrzymywała ich od gwałtownych oznak tej nienawiści. Wzmogła się ona jeszcze więcej, gdy król Stefan pomijając starania książąt i domu Zborowskich, w imieniu Samuela, o rękę Gryzeldy, powierzył ją Zamojskiemu. Twierdził bowiem, że zasługi jego wobec Rzeczypospolitej



mogą tylko dostatecznie być nagrodzone, jeżeli go spowinowaci z krwią własną.

A pan Samuel nawet tak dalece się zapomniał, że nie dbając na wyrok, mocą którego nie wolno mu było nogi postawić nie tylko w stolicy królewskiej, ale nawet na gruncie Polski, przybył do Krakowa, lekceważąc z wszelkich istniejących praw Rzeczypospolitej. Zamiarem jego było przy pomocy krewnych i kilkunastu przyjaciół Zborowskich porwać pana Zamojskiego, opanować zamek Krakowski i w nim podpisać akt konfederacji (związek obywateli w celach politycznych, sprzymierzenie), której marszałkostwo z najwyższą władzą nad wojskiem miały się dostać Marcinowi Zborowskiemu. Nie pomogły wszelkie przestrogi pana Kazimierza Mrocza, w tym samym czasie przybyłego z Zaporozża, przymawiającego swemu najdroższemu przyjacielowi, ażeby opuścił stolicę, gdyż tu niechybnie będzie miał do czynienia ze sprawą gardłową. Pan Samuel zdawał się na wszystko być głuchym, ślepo folgując namowom niejakiegoś Winrycha, rycerza niemieckiego, który teraz był jego nieodstępnym towarzyszem.

Otóż bawiąc przed kilku miesiącami w sprawach p. Samuela w Krakowie, zapoznał się Winrych z panią Wapowską, najzawziętszą prześladowczynią mordercy swego męża. Ujrawszy jej córkę, zapalał Niemiec ku niej gorącą miłością i od niej też został uprzejmie przyjęty. Twierdzo-

no nawet, że to on ściągnął p. Samuela do Krakowa, aby z jego głowy błagalną ofiarę uczynić zwłokom nieboszczyka, kasztelana przemyskiego i niczem nieubłaganej zemście pozostałej po nim wdowy. Słusznie też obawiali się przyjaciele Samuela, że z tego wszystkiego pokaże się uknuta zdrada.

Pan Zamojski o wszystkim świadomy, wysłał pana Zdorę, aby Samuelowi oświadczył, że jeżeli do wyznaczonej godziny nie opuści stolicy, każe go pojąć, a korzystając z przysługującego mu prawa jako starosta Krakowski, spełni wyrok na nim ciążyący. Sromął się z początku były hetman Zaporoski, wkońcu jednak przekonany o dobrych zamiarach swego mniemanego wroga, postanowił dzisiejszej jeszcze nocy w towarzystwie pana Ezechiela udać się za granicę Polski. Cóż, kiedy po odejściu Zdory nadszedł Winrych i słysząc o zamiarach Zborowskiego, wszystkie plany pokierował na inne tory.

— Samuelu — zawołał — czy chcesz opuścić swoją ojczyznę, nie pomściwszy się wprzód nad tym, który ciebie z niej wygania? Czy twoja wzniosła dusza może znieść, żeby ten, który długiem pasmem intryg wyrugowawszy ciebie z życziwości króla, wydarł tobie kochankę, a teraz pod pozorem jakiejś dawnej przychylności, wszystkich używa środków, ażeby ciebie skłonić do opuszczenia tej ziemi. Czy chcesz, żeby ten nik-

czemny Zamojski urągał się jeszcze z twojego tułactwa, żeby się wynosił przed zausznikami, nawet przed całym narodem, że zdołał ciebie przstraszyć?

— Stój Winrychu — twoje słowa jak żelazo rozpalone przechodzą po mojem sercu. Wszystkie moje zamiary jednym słowem wywróciłeś. I cóż mam począć? mamże bez zemsty pędzić dni moje w hańbie?

— Nie Samuelu, moja przyjaźń tego nie znieśie. Wszystko przygotowałem dla ocalenia twojej sławy. Przyprowadziłem tu poczet nieliczny, ale przez ciebie doświadczony kozaków, którzy swoje Zaporozże opuścili, żeby zostawać w twoich usługach. Nie do granicy, ale do Łobzowa dzisiaj się udamy, gdzie wiarołomna Gryzelda pod strażą garstki dworzan i najętego żołnierza wdzięki swoje szafuje nieprzyjacielowi twojemu i twojego domu. Przekupiłem żołnierzy, którzy tej nocy wartę od bramy trzymają. Oni nas wpuszczą, wpadniem do jej mieszkania, porwiemy ją i uwięziemy za granicę.

— Winrychu, pogodziłeś mnie z życiem. — Zemsta! zemsta! poznasz, podły bakalarzu, co to jest Samuela obrazić. Winrychu, zaprowadź mnie do moich kozaków, niech się z nimi i moim rumakiem nacieszę.

\*

\*

\*

Jak tylko słońca ostatnie promienie przestały złościć ziemię, pan Samuel w pełnej zbroi w towarzystwie Winrycha i kozaków opuścił miasto. Winrych świadomy wszystkich ścieżek ubocznych, prowadził poczet. Często zsiadał z konia, żeby lepiej się rozpoznać; nakoniec sam wyznał że zblądził. Wszakże na los szczęścia wszyscy w kupie prosto szli przed sobą. Trwało to około dwóch godzin. Nakoniec między drzewami zaczęło przed nimi migotać światło.

— Dzięki Bogu! — odezwał się Winrych. — Wiem przecie, gdzie się znajdujemy. Jest to zameczek wiejski pani Wapowskiej, kasztelanowej Przemyślskiej, a wieś do niego należąca nazywa się Koszlaki. — Jesteśmy o ćwierć mili od Łobzowa. Kasztelanowa bawi w Krakowie, ale podstarości zamkowy pan Rałhoza, wielce mnie życzliwy, jest na mojem zawołaniu. Jedźmy do zameczku, tam wytchną nasze konie, a pan Rałhoza da nam przewodnika, który nas bez szwanku przeprowadzi do Łobzowa.

— Dobrze, mój Winrychu, rozporządzaj wszystkim jak umiesz. Co do mnie, czuję w sobie zupełny upadek; zdaje mi się, że siła a nawet męstwo mnie odstąpiły. W Łobzowie tuszę, że je odzyskam. Teraz sen mnie morzy, ale tak, że siedząc na koniu ciągle drzemię. Tego nigdy w życiu nie doświadczyłem, ale zdaje mi się, że gdy-

bym mógł przynajmniej godzinę poleżeć, odrodziłbym się.

— Jeszcze mamy kilka godzin nocy; dlaczegobyś nie miał godzinki spocząć wygodnie? ile że konie nasze pomęczone potrzebują pokrzepić się. Ja nad tobą czuwać będę.

To mówiąc wjechali na dziedziniec zamkowy.

Pan Rahoza wyszedł na ich spotkanie, skoro stanęli przed gankiem, a Winrych do niego przemówił, jako do dobrego znajomego.

— Panie Rahoza, z moim przyjacielem i naszymi ludźmi ruszamy do Łobzowa na wielki wieczór proszeni, a kaduk nam nadał, że my zblądzili. W innym razie cieszyłbym się z tego, bo toby mi dało sposobność powitać waszmości; ale wyznaję, że to mi teraz nie do smaku, bo się spóźnimy. Choć prawdę powiedziawszy, płasy Łobzowskiego zamku przeciągną się, że słońce wysoko się podniesie, nim się zabawy skończą. Otóż proszę waszmości dać nam pewnego przewodnika do Łobzowa.

— A! całym sercem, wielmożny baronie. Ale niech panowie będą łaskawi przejść próg prawdziwego sługi. My całą noc jesteśmy na nogach; ja, dziatki i czeladka, bo moja żona coś zachorowała obłożnie, i oczekujemy lekarza z Krakowa. Proszę panów do siebie.

Rycerze poszli za nim do tej części wiejskiego zamku, którą z rodziną swoją zajmował; uprosił ich siąść i posilić się czemkolwiek. Pan Samuel

pozostał, a pan Winrych wyszedł: ale wkrótce powrócił i rzekł:

— Jeżeli ciebie, przyjacielu miły, sen morzy, po przyjęciu posiłku wypocznij sobie wygodnie godzinkę, a ja sam cię obudzę, by na orzeźwionych koniach przedłużyć naszą podróż pod przewodnictwem pacholka, co go nam zacny pan Ra-hoza nie odmówi.

— Dam mojego stajennego, wcale roztropnego chłopca. A przyjaciel pański niech sobie wypocznie na tym tapczanie kilimkiem obslanym; jest na nim i poduszka. Tylko niech pan raczy się rozgościć, zbroja nie uciecze, a jak pan wypoczniesz, pomożemy mu włożyć ją na siebie.

Pan Samuel mocno poziewając, zapomocą Winrycha zrzucił hełm i zbroję, odpasał miecz i położył go na tapczanie. W czasie kiedy się rozbierał, zastawiono stół chlebem, masłem i zimną pieczenią cielecą. Winrych zaczął wieczerzać, ale pan Samuel tylko szklanekę mleka wypił, i ubrany rzucił się na tapczan i wkrótce snem twardym zasnął.

Ależ jakie okropne było jego przebudzenie!

Śniło mu się, że wszystkie jego członki odrętwiały i że rozbójnicy wiążą go do dębu. Budzi się, chce się zerwać, czuje się być przygniecionym jakimś ciężarem. Szamoce się, otwiera zemdlale powieki, widzi siebie w rękach oprawców; już jego ręce i nogi ujęte są w kajdany! RzUCA

obłąkane spojrzenia, woła o ratunek. Wtem pokazuje się na progu kobieta, poznaje panią kasztelanową Wapowską! — Zdrada! — odzywa się, i w ciągłym szamotaniu próbuje porwać swoje więzy.

— Uspokój się mości hetmanie Zaporoski! — rzekła kasztelanowa — jesteś w ręku tej, której męża zostałeś zabójcą, póki w inne jeszcze ręce ciebie nie wydam; a te koniec położą twoim zbrodniom. A! panie Samuelu, myślałeś, że zostałam głuchą na wołanie o pomstę krwi mojego męża? że ci dopuszczę uciekać za granicę? Ale żebyś o wszystkim się dowiedział: Winrych ciebie wprowadził w sidła przeze mnie nastawione. Nie mam nic do wyrzucenia sobie: postąpiłam, jak przystoi wdowie względem zabójcy jej męża, jak przystoi obywatelce względem tego, który prawa jej narodu śmie deptać. — Poczem obracając się do sług swoich: Zaprowadźcie tego zbrodniarza do więzienia zamkowego, w niem niech oczekuje swojego losu. A ty, Winrychu, skoro się tylko rozwidni, jedź do Łobzowa, by panu kanclerzowi koronnemu oznajmić, że zbrodzień jego juryzdykcyi uległy schwytyany został na moim gruncie, stosownie do wyroku królewskiego, upoważniającego każdego obywatela do imania go, skoro się odważy wstąpić na ziemię kraju. Powiedz mu, że go proszę, ażeby jak najspieszniej oswobodził moje mieszkanie poczciwe od pobytu tego tu człowieka.

\*

\*

\*

Ledwo jutrzienka zaczynała wydobywać Łobzów z nocnych cieniów, a już pan kanclerz z panem Żółkiewskim, swoim powiernikiem, w gabinecie pospołu pracowali nad ukończeniem niektórych dzieł ważnych, poruczonych im od króla.

— Panie Stanisławie — odezwał się kanclerz — Bóg się zlitował nad Polską. Dał nam króla równie mądrego jak walecznego. Oby tylko Bóg zachował go dla naszego szczęścia! Jest on pogromcą zewnętrznych a otwartych wrogów, każdy zaś krok ich zostaje pod śledczym okiem im niewidomem. Atoli umiarkowanie rządu nikczemnie przypisują uczuciom bojaźni, a nie umieją poznać, że my jesteśmy nadto silni, żeby nie okazać się wspaniałomyślnymi.

— To prawda, mości kanclerzu; wszakże wspaniałomyślność jest zanadto daleko posunięta. Komuż z nas są tajne zabiegi domu Zborowskich, jego nienawiść do króla i do wszystkich tych, co ich zaszczyca swoją ufnością? Marszałek przypisuje bojaźni twoje umiarkowanie, wmawia obywatelom tu zebrany jakieś mniemanie o jego tajemniczej potędze, której ty sam nie śmiałeś się narażać. Bądź pewny, panie kanclerzu, że nie w innym celu on sprowadził swojego brata Samuela, tylko żeby z ciebie natrzasał się w obliczu licznie zgromadzonej szlachty, żeby jej ufność w tobie osłabić.

— Znam nasz naród, panie Stanisławie. Wszystkie też środki wyczerpałem, żeby pogodzić



nienaruszoność prawa z tą przyrodzoną litością, co ją sam czuję dla burzliwego młodzieńca, który jakkolwiek przewinił, jednak żadną podłością się nie skaził. Brat jego, lubo dotąd jeszcze czysty w obliczu prawa, w istocie jest nierównie winniejszy. Wyznaję też otwarcie, że dla niego nie pokazałbym podobnego umiarkowania, bo jest niebezpieczniejszym dla Polski. Ale Samuel, jako umiał być dla niej pożytecznym, tak i nadal może zostać jej ozdobą. Dałby Bóg, żeby opuścił nasze dzierżawy, bo wygnanie, rozwaga, czas, zdołają oczyścić jego duszę z tych skaz, jakimi namiętności rozbrykane ją napiętnowały.

— Więc byle opuścił województwo Krakowskie, wolno mu będzie w innych częściach Polski podbudzać stronników jego domu, zakłócać spokojność dobrze myślących obywatelów, zapalać pochodnie wojny domowej?

— Nie, nie, żadna czynność moja szkody ojczyźnie nie przyniesie. Jako starosta pilnuję obrębów moim rządóm uległych, ale jako kanclerz czuwam nad bezpieczeństwem całkowitego państwa. Wczoraj jeszcze ostatniego środka ratunku dla p. Samuela użyłem. Wyprawilem doń starostę Fellińskiego, Zdore, polecając żeby jeszcze tej nocy udał się za granicę. Biada mu, jeżeli z tego nie skorzysta. Zdora podjął się go przeprowadzić do granicy i co chwila oczekuję go, żeby mi zdał sprawę z tego co zrobił.

Ledwo te słowa wyrzekł, a już pan Ezechiel się pokazał.

— I cóż stało się z panem Samuelem — pytał kanclerz ciekawie.

— Już on musi być za granicą; dowiedziałem się, że jego terażniejszy zauszniak baron Winrych przybył z pocztem dziesiątka kozaków i że w pełnej zbroi z nimi wyruszył, nie czekając na mnie. Niech mu tego Bóg nie pamięta, że wzgardził moją usługą.

— Ach mój miły starosto! jaki mi ciężar spadł z głowy, że mnie Bóg uwolnił od ścigania jego osoby. Ale co widzę? rycerz w pełnej zbroi na moim dziedzińcu, a za nim dwóch jeźdźców! Mości starosto, przyprowadź go do mnie z łaski swojej.

Przybyły rycerz podniósł kratę od przyłbicy i wszyscy poznali Winrycha.

— Jaśnie wielmożny kanclerzu — odezwał się tenże — niech żyje Polska! Samuel Zborowski wpadł w ręce jaśnie wielmożnej kasztelanowej Przemyślskiej; okuty w łańcuchy odbywa medytacye w więzieniu jej zamku. A ta pani wysłała mnie do jaśnie wielmożnego pana, żebyś raczył przyjąć jej więźnia i postąpić z nim, tak jak tego wymaga prawo.

Pan Zamojski w silnem poruszeniu wziął głowę swoją w obie ręce i czas jakiś był w zamysłeniu. Potem rzekł:

— Stało się! Boska tu, a nie moja wola. Ale jakim sposobem, mości panie baronie, przyszło do

tęgo, że pani Wapowska rozrządza teraz losem pana Samuela? Wszakże waszmość przywiązałeś się był do osoby tego nieszczęsnego. Jakaż więc koleją zmienną z zaleceniami pani kasztelanowej do mnie się teraz udajesz.

— Pani Wapowska, której córki przyjaźni szukałem, nauczyła mnie moich obowiązków. Przekonała mnie, że otrzymawszy przywileje tu-tejszego obywatelstwa, okazałbym się ich niegodnym, gdyby skłonność dla przyjaciela przeważała w mojem sercu obowiązki, co je czuć winienem dla ojczyzny nowej. Nie dopuściłem więc, żeby pan Samuel występna głowę uniósł w obce kraje. Przeprowadzając go niby do Łobzowa a potem za granicę, umiałem go doprowadzić do zamku pani Wapowskiej. Zarówno obowiązki jako i miłość kierowały moimi krokami, bo miałem w nagrodzie przyobiecana rękę kasztelanki.

— Winszuję jej tak pięknego pokrewieństwa — odezwał się pan Ezechiel, mierząc z pogardą Winrycha.

— Panie Stanisławie — rzekł pan Zamojski do pana Żółkiewskiego — nic nam nie pozostaje, jak tylko najspieszniej wypełnić naszą powinność. Ruszaj tedy na czele 20 żołnierzy i pana Samuela zawieź pod jej strażą do zamku Krakowskiego, gdzie już mnie zastaniesz. Pan Winrych, jako znający drogę, raczy waszmości przeprowadzić.

Pan Żółkiewski śpiesznie wyszedł, a za nim Winrych, zaś pan kanclerz z Ezechielem razem siedli do kolasy; pierwszy zamyślony, drugi pogrążony w smutku.

Gdy Żółkiewski stanął u kresu wyprawy, zastał dwór kasztelanowej zebrany na dziedzińcu zamkowym. Tutaj rozkazał, by natychmiast postawiono przed nim pana Samuela. Wzdrygnął się, widząc szlachetnego męża w kajdanach.

— Panie Samuelu — rzekł do niego — przychodzę dopełnić obowiązek wielce przykry dla mojego serca. Waszmości dostawić muszę do zamku Krakowskiego: tam stanie się z nim nie to co my, ale co Bóg chciał.

Pan Samuel w ponurem zostawał milczeniu.

— Panie Samuelu, daj mi waszmość słowo, że się nie pokusisz do ucieczki a ja cię uwolnię z tych niecznych kajdan.

Pan Samuel i na to milczenia nie przerwał.

— Jużci ja tego nie zniosę — odezwał się pan Żółkiewski — aby rycerz tak wysokiej krwi w kajdanach wjeżdżał do Krakowa. — Następnie kazał rozkuć p. Samuela i umieścić w przygotowanej karecie, a potem drzwi od niej na klucz pozamykał. Pan Samuel zdawał się być nieruchawym; zauważono jednak, że gdy Winrych się przybliżył do okna pojazdu, na p. Samuela twarzy odmalował się niewypowiedziany wyraz bolesnego wstrętu.

\*

\*

\*



Pan Zamojski nieco drżącym głosem rozpoczął stawiać pytania.

Już pan Zamojski w sali grodzkiego sądu oczekiwał przybycia znakomitego winowajcy, a gdy mu oznajmiono, że przybył, dał rozkaz, żeby się natychmiast przed nim stawiał. Jak znalazł się w sali, pan Zamojski nieco drżącym głosem rozpoczął stawiać pytania, na które p. Samuel odpowiadał śmiało i spokojnie. Rzecz cała nie trwała pół godziny, a gdy odczytano mu wyrok skazujący go na ścięcie, wysłuchiwał go bez najmniejszego poruszenia.

— Panie Samuelu — odezwał się do niego pan kanclerz — teraz waszmość pójdiesz do więzienia... masz całą dobę dla pojednania się z Bogiem, przed którym staniesz jutro o samem południu... Dopełniłem ciężkiego obowiązku, ale niczego nie dopuściłem się innego, jeno tego, do czego powinność mnie zmuszała. Boli mnie jednak niechęć twoja i że mnie przypisujesz niieszczęście twoje. Sam wyznaj, że pokąd można było ciebie ocalić bez narażenia własnego sumienia, najgorliwszy twój przyjaciel więcejby nie zrobił ode mnie. Ale jestem wyrozumiały na te uprzedzenia twoje i proszę cię w imię Chrystusa Pana, ażebyś mi odpuścił wszelki żal, jaki mieć możesz przeciwko mnie.

— Otoś mnie zagadł! — odrzekł p. Samuel. — Niema co mówić; jestem chrześcijaninem i nie mogę być zbawionym, tylko przez zasługi Zbawiciela.

I podali sobie ręce, a potem rzucili się w swoje objęcia jak najlepsi przyjaciele. Strumień łez pu-

ścił się z powiek pana Zamojskiego. Pan Samuel tu się okazał mężniejszym, bo ani jednej łezki nie uрониł. Następnie odprowadzono go do więzienia, gdzie zażądał papieru i pióra i zapisał na nim rozporządzenia swoje. Mocą tego czwartą część swego majątku przekazał p. Kazimierzowi Mroczkowi, zaklinając braci, ażeby zawsze królowi byli wierni i nie kusili się pomścić jego śmierci. Oświadczył najwyższy szacunek dla pana Zamojskiego, a nawet przekazał mu na dowód tego szacunku szarfę błękitną, co ją był otrzymał od jego żony, wówczas panny, i ulubioną swoją zbroję. Panu Ezechielowi zostawił na pamiątkę konia, na którym odbył ostatnią swoją przejażdżkę i bogaty rzed. Całą noc przepędził na rozmyślaniach, w czem mu wiernie pomagał Ojciec Brunon, Kamęduła. Dopiero około piątej z rana położył się i aż do jedenastej spał tak smacznie, jakby po jakiej uczcie.

Obudziwszy się, zastał Ojca Brunona modlącego się i prosił, żeby mu pozwolił z nim się modlić. Po tych modlitwach starzec zaczął czytać akty konających, a te p. Samuel z wielką skruchą i podniesieniem powtarzał. Kiedy ostatnie słowo tych akt wymówił, usłyszał stukania, poczem drzwi się otworzyły i oznajmiono, że wszystko gotowe. Pan Samuel trzymając pod rękę Ojca Brunona, wyszedł na dziedziniec. Widok kata nieco go wzruszył, ale tylko przelotnie. Kiedy się

kat do niego przybliżył z uszanowaniem, podał mu głowę i zdjawszy z palca pierścień kosztowny, ofiarował mu go na pamiątkę.

— Niech jaśnie wielmożny pan ukłęknie i schyli głowę, a niech powtarza za księdzem ostatnie słowa: Jezus, Marya, Józef!

Pan Samuel usłuchał, jak mu zalecano i ledwo wyrzekł słowo: Jezus... już był obywatelem krainy wieczności.

